NR 17 (1941) 28 KWIETNIA 2026

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

45 LAT



Kongres Pracy 2026

CZŁOWIEK NA PIERWSZYM MIEJSCU

ISSN 0208-8045
INDEKS 379433
CENA 9,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

TYSOL.PL

- NASZA TYPOLOGIA LIBKÓW
- ŻEGNAMY KAZIMIERZA GRAJCARKA

eprasa.pl b1ccbc3081

REPUBLIKA

Zapraszamy na autorski program publicystyczny
Tomasza Sakiewicza dla widzów, którzy chcą wiedzieć więcej.
Polityka bez filtrów. Najważniejsze tematy. Mocne opinie. Analizy,
które mają znaczenie. Rozmowy, które wyznaczają kierunek debaty.



PONIEDZIAŁEK
18:00
w Republice

www.radiotvrepublika.pl | Telewizja Republika | @RepublikaTV | RepublikaTV | @RepublikaTV

Republikę oglądać można na ogólnopolskim multipleksie naziemnej telewizji cyfrowej tzw. MUX-8 na pozycji 51 listy kanałów. Niezbędna do tego jest antena kierunkowa np. typu YAGI, ustawiona, w zależności od miejsca zamieszkania, poziomo lub pionowo. Ustawienie anteny sprawdź w aplikacji EmiMaps. Ósmy multipleks dociera prawie do 95% Polaków i jest nadawany w zakresie VHF. Dodatkowo można nas oglądać przez satelitę (Polsat Box, CANAL+, Orange), w sieciach kablowych, IPTV oraz w lokalnych multipleksach z Ornontowic – MUX L2 oraz Lubina i Głogowa – MUX L7. Republikę obejrzysz na żywo także na serwisie www.tvrepublika.pl, a wszystkie programy znajdziesz na oficjalnym kanale YouTube: @Telewizja_Republika.

SKANUJ KOD QR
WSPIERAJ DOM WOLNEGO SŁOWA



Rafał Woś
REDAKTOR NACZELNY

Dziesięć lat temu napisałem książkę „To nie jest kraj dla pracowników". Napisałem ją z jednego prostego powodu. Polska nie była wtedy krajem dla pracowników. Była krajem wysokiego bezrobocia, niskich – często głodowych – płac, nietrwałych umów lub ich braku oraz stale rosnących dysproporcji dochodowych.

W ciągu następnych dziesięciu lat tamten obraz bardzo się zmienił. Bezrobocie spadło, płace zaczęły szybko rosnąć, płaca minimalna nadgoniła do poziomu połowy średniej krajowej, poziom aktywności zawodowej wzrósł do nienotowanych w III RP poziomów, a takie patologie jak syndrom pierwszej dniówki czy brak stawki godzinowej zostały zlikwidowane. Nigdy dość przypominania, jak ważną rolę odegrała w tym procesie Solidarność konsekwentnie naciskająca na rząd Zjednoczonej Prawicy, by się z propracowicznych zobowiązań składanych w kampaniach wyborczych w praktyce rządzenia bez gadania wywiązywał.

Ale nic nie trwa wiecznie. Dziś sytuacja znowu się zmienia. Na gorsze. Od ponad dwóch lat znów rządzą nami liberałowie, a wraz z Donaldem Tuskiem wróciły stare problemy. Bezrobocie rośnie od 9 miesięcy. W marcu oficjalnie zarejestrowanych było 950 tysięcy ludzi bez pracy. To o prawie 200 tysięcy więcej niż w grudniu 2023 roku, gdy liberałowie wracali do władzy w Polsce.

W największych metropoliach może tego nie widać. Ale na poziomie Polski powiatowej bezrobocie ma zębiska i gryzie. W powiecie słubickim nastąpił wzrost bezrobocia o 45 procent w ciągu dwóch lat. We wrocławskim (czyli poza miastem) plus 48 procent. Rybnik – plus 48 procent. Żory – plus 53 procent. Gorzów Wielkopolski – plus 71 procent. Powiat kołobrzeski – plus 79 procent. Kalisz, Pleszew, Bochnia, Wieliczka, Leszno, Sochaczew czy Lubin – wzrost bezrobocia o „zaledwie" 30–35 procent.

A przecież bezrobocie nigdy nie przychodzi samo. Wraz z nim idzie presja na stagnację lub nawet obniżki płac – im więcej bezrobotnych w regionie, tym łatwiej pracodawcom pacyfikować postulaty załogi groźbą, że jak się komuś nie podoba, to na jego albo jej miejsce jest kilku takich, co wezmą tę robotę z pocałowaniem ręki. Nie ma więc co się stawiać. Im więcej bezrobotnych, tym większa presja na finanse publiczne, bo zarejestrowanym w pośredniaku trzeba opłacać składki i wypłacać (nawet jeśli niewysoki) zasiłek. Im mniej pracujących w gospodarce, tym mniej wpływów podatkowych. Im więcej bezrobotnych, tym słabiej z konsumpcją prywatną, bo ludzie bez pracy raczej oszczędzają, niż wydają. Utrata pracy przez jednego członka rodziny to zazwyczaj też oszczędności całej rodziny, czyli całego gospodarstwa domowego. Przedłużające się bezrobocie to (za jakiś czas) lawina problemów z obsługiwaniem zaciągniętych kredytów hipotecznych albo konsumenckich. Brak pracy i spadek realnych dochodów to wzrost zapotrzebowania na wysoko oprocentowane mikropożyczki i chwilówki.

W powiecie słubickim nastąpił wzrost bezrobocia o 45 procent w ciągu dwóch lat. We wrocławskim (czyli poza miastem) plus 48 procent. Rybnik – plus 48 procent.

Właśnie dlatego praca jest tak ważna. Nie chodzi o to, żeby się zgadzały słupki czy statystyki. Ale o to, że ważny jest człowiek. Bo człowiek, który chce, ale nie może pracować, to największa tragedia każdego narodu. A władza, która tę prawdę ignoruje, jest władzą albo złą i głupią, albo głupią i złą.

MASZYNA DO RYSOWANIA **KARNKOWSKI**



eprasa.pl b1ccbc3081

28.04.2026
WYDANIE Nr
17

W TYM TYGODNIU:

TEMAT TYGODNIA

Kongres Pracy 2026



6 **Kongres Pracy 2026. „Człowiek na pierwszym miejscu”**

10 **Gdzie w systemie jest pracownik**

14 **Strefa euro pełna nierówności. Rozmowa z A. Soboniem**

18 **Algorytm to surowy pan**

22 **Dlaczego potrzebujemy Święta Pracy?**

26 **Praca, której nie ma**

45-LECIE „TYGODNIKA SOLIDARNOŚĆ”

„TS” doceniony za walkę o wolność słowa 31

KRAJ

Krótki przewodnik po gatunkach libków w Polsce 32

Fałszywy walc znad Dunaju 36

ZAGRANICA

Czy Magyar jest Tuskiem 42

Amerykanie domagają się tańszej energii 46

KULTURA

Nie szukam łatwych i chwytliwych fraz. Rozmowa z O. Królik 50

W łączności z Maryją. Recenzja filmu „Maryja. Matka Papieża” 54

Dwoje na falach historii. Recenzja książki „Na wzburzonych falach” 56

ZWIĄZEK

Co w związku 62

„Przyjechała do Ciebie cała Solidarność”. Pożegnanie Kazimierza Grajcarka 64

Kiedy na franczyzie tracą wszyscy (poza dużymi sieciami). Rozmowa z A. Bujarą 66

IV Forum Młodych NSZZ „Solidarność” 70

Stabilność zatrudnienia jednym z fundamentów silnego państwa 72

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ
Czasopismo NSZZ „Solidarność”

Adres redakcji: ul. Prosta 30, 00-838 Warszawa
E-mail: redakcja@tygodniksolidarnosc.com
Tel./fax: 22 882 27 96

Wybór tekstów z każdego numeru „TS” na stronie: www.tysol.pl

Prezes Zarządu: Michał Ossowski

Członek Zarządu: Wojciech Kwidziński

Redaktor naczelny: Rafał Woś
r.wos@tygodniksolidarnosc.com

Zastępca redaktora naczelnego:
Cezary Krysztopa

Sekretarze redakcji:
Beata Rojek, Aleksandra Paulus,
tel. 22 882 27 80

Dziennikarze: tel. 22 882 27 96; 22 882 08 21
Bartosz Boruciak, Krzysztof Karnkowski, Marcin Krzeszowiec, Barbara Michałowska, Ludwik Pęzioł, Jakub Pacan, Teresa Wójcik, Agnieszka Żurek

Felieton i komentarz: Marek Jan Chodakiewicz, Karol Gac, Sławomir Jastrzębowski, Zdzisław Krasnodębski, Cezary Krysztopa, Monika Małkowska, Magdalena Okraska, Remigiusz Okraska, Tadeusz Płużański, Piotr Skwieciński, Rafał Woś, Jan Wróbel

Stali współpracownicy: Barbara Andrijanić, Marcin Darmas, Paweł Gabryś-Kurowski, Andrzej Gajcy, Piotr Grzybowski, Ewa Górska, Jarosław Jakubowski, Wojciech Kulecki, Piotr Łopuszański, Marek Nowak, Tomasz Oleksiewicz, Sebastian Pytel, Sebastian Reńca, Łukasz Sakowski, Patryk Stanik, Mariusz Staniszewski, Wojciech Stanisławski, Mateusz Wyrwich, Igor Zalewski, Stanisław Żaryn

Łamanie: Andrzej Chojnacki, Małgorzata Lewicka-Koniak

Foto: Tomasz Gutry, Marcin Żegliński

Rysunki i grafika: Maciej Michalski, Barbara Sadowska, Marek Sobczyk, Jerzy Wasiukiewicz, Zygmunt Zaradkiewicz

Tysol.pl: Aleksandra Jakubiak, Marlena Nowakowska, Kacper Pawowicz, Jerzy Szulwic, Anna Tyszer, Mariusz Tyszer, Robert Wąsik, Anna Zgierska

Artykułów niezamówionych redakcja nie zwraca i zastrzega sobie prawo skrótów oraz zmian tytułów nadesłanych materiałów.

Dział marketingu:
Konrad Wernicki
k.wernicki@tygodniksolidarnosc.com

Wydawca: Fundacja Promocji Solidarności, ul. Wały Piastowskie 24, pok. 327, 80-855 Gdańsk
nr konta: mBank S.A.
44 1140 1065 0000 7461 0100 1001

Telefon: 58 337 60 44

FELIETONY:

OKRASKA 13

GAC 17

SKWIECIŃSKI 21

POLECAMY:

ŚWIAT WEDŁUG WRÓBLA 12

KARUZELA Z BLOGERAMI 29

Z ARCHIWUM TOMASZA GUTREGO 30

CZYTAM, CHADZAM, DORADZAM, ODRADZAM 60

PRAWO 73

eprasa.pl b1ccbc3081

NSZZ Solidarność



Fundacja Promocji Solidarności

#idziemyPOwasOszuści

OGÓLNOPOLSKA AKCJA PROTESTACYJNA NSZZ „SOLIDARNOŚĆ”

ŻĄDAMY:

- Zahamowania zwolnień grupowych
- Zaprzestania wypowiadania układów zbiorowych pracy i wygaszania praw pracowniczych
- Odrzucenia destrukcyjnej polityki klimatycznej (Zielony Ład, Fit For 55, ETS, ETS2)
- Wsparcia branż kluczowych dla bezpieczeństwa energetycznego i przemysłowego Polski
- Rozsądnego gospodarowania zasobami naturalnymi, prowadzenia sprawdzonej gospodarki leśnej
- Odpowiedzialnej polityki dotyczącej służby zdrowia z poszanowaniem praw pracowników oraz pacjentów
- Kompleksowej reformy edukacji i nauki, wstrzymania chaotycznych zmian w oświacie
- Niezwłocznej i realnej waloryzacji płac w sektorze finansów publicznych
- Przywrócenia realnego dialogu społecznego
- Przywrócenia i przyspieszenia kluczowych inwestycji strategicznych: CPK, elektrownie atomowe, sieci naftowe i gazowe, port w Świnoujściu, żeglowność Odry
- Wstrzymania wdrażania prawa uderzającego w bezpieczeństwo ekonomiczne polskich pracowników i ich rodzin
- Szybkiej rozbudowy polskiej armii z wykorzystaniem polskiego potencjału
- Ochrony polskiego rolnictwa przed skutkami umowy UE - Mercosur i UE - Ukraina
- Zabezpieczenia interesów polskich firm i bezpieczeństwa państwa polskiego po wojnie na Ukrainie



KONGRES PRACY 2026.

„Człowiek na pierwszym miejscu”

Fot. M. Żegliński (3)

Cztery bloki dyskusyjne, szesnastu panelistów, trzech prowadzących i **kilka godzin rozmów** nad ważnymi dla wielu Polaków tematami – od polityki klimatycznej, przez walutę euro, po zmiany na polskim rynku pracy i zatrudnionych u nas Ukraińców. Podsumujmy Kongres Pracy 2026 zorganizowany przez Fundację Promocji Solidarności w minioną środę, 22 kwietnia, w historycznej Sali BHP Stoczni Gdańskiej.

Marcin Krzeszowiec

eprasa.pl b1ccbc3081

Partnerami Kongresu Pracy 2026 byli: Narodowy Bank Polski (Partner Główny), NSZZ „Solidarność” (Partner Honorowy) oraz spółka DOMS. Wydarzenie odbywające się pod hasłem „Człowiek na pierwszym miejscu” objęła patronatem Kancelaria Prezydenta RP. Do motta Kongresu nawiązał w swoim wystąpieniu Piotr Duda, przewodniczący Solidarności.

– To piękny tytuł. Związek zawodowy Solidarność zawsze stawia w miejscu pracy człowieka na pierwszym miejscu. Na każdej Pielgrzymce Ludzi Pracy w Częstochowie, realizując testament naszego patrona bł. ks. Jerzego Popiełuszki, zawsze przytaczam jego słowa: „Bez względu na to, jaki wykonujesz zawód – jesteś człowiekiem” – podkreślał przewodniczący NSZZ „Solidarność” i zapewnił, że tego rodzaju inicjatywy z pewnością będą wspierane przez Związek.

Na kontynuację tej inicjatywy liczy także prezes Fundacji Promocji Solidarności Michał Ossowski, który po powitaniu gości powiedział, że jego marzeniem jest, aby Kongres odbywał się cyklicznie, co roku.

– Zachęcam państwa, aby wspierali państwo naszą inicjatywę, chcemy ją rozwijać i żeby była taką przestrzenią, gdzie można merytorycznie rozmawiać o problemach świata pracy, łącząc różne środowiska – apelował prezes Ossowski, który poprowadził pierwszy z paneli dyskusyjnych.

> ***Chcemy, aby nasza inicjatywa była taką przestrzenią, gdzie można merytorycznie rozmawiać o problemach świata pracy, łącząc różne środowiska.***
>
> **MICHAŁ OSSOWSKI, prezes Fundacji Promocji Solidarności**

„Zielony Ład jako zagrożenie świata pracy”

Polityka klimatyczna Unii Europejskiej to „ulubiony” temat Solidarności, dlatego za niecały miesiąc, 20 maja, na placu Zamkowym w Warszawie odbędzie się wielka demonstracja. Solidarność ma w tej kwestii jasne zdanie.

– Mógłbym powiedzieć jedną rzecz i w gruncie rzeczy zakończyć. Moim zdaniem ta polityka klimatyczna nie ma żadnego wpływu na klimat – powiedział wiceprzewodniczący „S” Bartłomiej Mickiewicz w trakcie panelu.

Zaznaczył, że polityka klimatyczna Unii Europejskiej obniża konkurencyjność europejskiej gospodarki i nie wpływa na klimat, bo UE odpowiada za mniej więcej 6 procent światowej emisji dwutlenku węgla, a globalna emisja w 2024 roku wzrosła o 1,3 proc.

Prof. Zbigniew Krysiak, prezes Instytutu Myśli Schumana, mówił z kolei o dużych kosztach, jakie wygeneruje druga odsłona systemu handlu uprawnieniami do emisji. – ETS2 na początku generowałby średnio dla gospodarstwa domowego rocznie dodatkowe koszty [...] około 7 tys. zł, a w kolejnych latach do 15 tys. – powiedział.

– Kiedy wprowadzano ETS, Europa miała około 25 proc. udziału w produkcji przemysłowej, dzisiaj jest to około 17 proc. – mówił kolejny panelista Karol Rabenda, podsekretarz stanu w Kancelarii Prezydenta RP.

Z innego punktu na tę sprawę spojrzał Mateusz Piotrowski ze Stowarzyszenia Pacjent Europa: – Indie w ciągu ostatnich 12 miesięcy zbudowały w fotowoltaice dwa razy tyle mocy, ile jest w Polsce – nie z powodów ideologicznych, tylko gospodarczych.

– Nie jestem zwolennikiem ETS, ale jednostronne wycofanie się z niego mogłoby mieć bardzo wysokie koszty gospodarcze – alarmował.

Rynek pracy

Tematem drugiej dyskusji była kondycja polskiego rynku pracy. Panel poprowadził Rafał Woś, redaktor naczelny „Tygodnika Solidarność”, który podał na wstępie, że bezrobocie w Polsce rośnie od 9 miesięcy, prawie milion osób pozostaje bez pracy i jest to o prawie 200 tysięcy więcej niż w roku 2023.

Jako pierwszy głos zabrał wiceprzewodniczący Solidarności Maciej Kłosiński, który stwierdził, że obecnie „to pracownik poszukuje pracy”. Związkowiec mówił, że w czasie rządów Zjednoczonej Prawicy udało się wprowadzić wiele dobrych rozwiązań, jak np. stawka godzinowa, i pokazać, że „rynek pracy nie powinien być konkurencyjny od strony kosztów pracy”.

> ***Szukajmy rozwiązania technologicznego, innowacyjnego produktu, a nie mówmy cały czas, że koszt pracy jest dla pracodawcy największym obciążeniem.***
>
> **MACIEJ KŁOSIŃSKI, wiceprzewodniczący „S”**

eprasa.pl b1ccbc3081

– Szukajmy rozwiązania technologicznego, innowacyjnego produktu, a nie mówmy cały czas, że koszt pracy jest dla pracodawcy największym obciążeniem i przez to pracodawca nie może prowadzić swojego biznesu – podkreślał przewodniczący Kłosiński.

Europosłanka Marlena Maląg zwracała z kolei uwagę, że na pracę należy spojrzeć w szerszym kontekście, bo „praca daje poczucie godności, stabilizacji, nie tylko pracownikowi, lecz także całej rodzinie". – Aby zmienić rynek pracy, Polacy muszą być przede wszystkim godnie wynagradzani – zaznaczyła.

Posłanka Paulina Matysiak skomentowała natomiast decyzje o zmniejszeniu wydatków na aktywizację bezrobotnych. W tym roku na ten cel przeznaczono 2,1 mld zł.

– W ubiegłym roku tych środków było 3,6 mld zł. Teraz jest mniej i mamy 100 tysięcy więcej bezrobotnych, więc jak to się komukolwiek w rządzie mieści w głowie i układa w spójną całość, nie wiem – wskazała Paulina Matysiak.

Doradca Zarządu Konfederacji Lewiatan prof. Jacek Męcina mówił zaś o tym, że kluczowym wyzwaniem dla rynku pracy są inwestycje w kształcenie ustawiczne.

– Jeżeli dziś nie położymy na stole miliardów, które będą służyć i pracodawcom, ale przede wszystkim pracownikom, na podnoszenie i uzupełnianie, często zmianę, kwalifikacji, to obudzimy się znowu w sytuacji, że nagle zacznie nam rosnąć strukturalne bezrobocie – podkreślił.

Czy Polska powinna przyjąć euro?

Nad tą kwestią rozmówcy Rafała Wosia zastanawiali się w trzecim panelu.

– W Związku zawodowym Solidarność nie spotkałem zwolenników wprowadzenia euro – oznajmił Alfred Bujara. W jego ocenie waluta euro utrudni nam dogonienie gospodarek państw zachodnich i spowolni polską gospodarkę, a także niesie ze sobą zagrożenie likwidacji gotówki. – Myślę, że w tej chwili powinna powstać koalicja na rzecz nie tylko gotówki, lecz także złotówki – podkreślił.

> ***W związku zawodowym Solidarność nie spotkałem zwolenników wprowadzenia euro.***
>
> **ALFRED BUJARA, szef handlowej „S"**

Przeciwko wprowadzeniu europejskiej waluty opowiedział się także Artur Soboń z Narodowego Banku Polskiego. – Z całą pewnością polski złoty służy temu, że Polacy stają się po prostu coraz bogatsi, a Polska się rozwija – podkreślił.

Odpowiadając na pytanie, kto jest dzisiaj zwolennikiem przyjęcia euro, poseł Kacper Płażyński powiedział: – Myślę, że zwolennikami są wszyscy ci, którzy chcą odebrać państwu i mi taką legalną kontrolę nad najważniejszymi politykami państwowymi. No bo jaką mają państwo kontrolę nad na przykład działaniami Komisji Europejskiej? No przecież to jest iluzoryczna kontrola.

– Nie chciałbym, żebyśmy dołączyli do kolejnej sfery, bardzo ważnej, monetarnej, do tego szeregu instytucji, nad którymi nie mamy kontroli – dodał.

Z grona przeciwników przyjęcia euro nie wyłamała się także Natalia Kołc z partii Nowa Nadzieja. – Przede wszystkim, jeżeli chodzi o złotówkę, to możemy dzięki tej walucie reagować na kryzysy i chronić miejsca pracy. Decyzje zapadają w naszym kraju, a nie w Europejskim Banku Centralnym – powiedziała.



Ukraińcy na rynku pracy

Ostatni panel poprowadzony przez Konrada Wernickiego, dziennikarza „Tygodnika Solidarność", dotyczył obywateli Ukrainy pracujących w naszym kraju.

eprasa.pl b1ccbc3081

Nadia Winiarska z Konfederacji Lewiatan podzieliła Ukraińców przyjeżdżających do naszego kraju na dwie grupy. Pierwsza z nich to grupa migrantów zarobkowych, którzy przyjechali do nas po 2014 roku, oraz migrantów wojennych, którzy przyjechali po wybuchu wojny w 2022 roku.

– Przede wszystkim jest to grupa, która bardzo się różni z perspektywy demograficznej. Przyjechały do Polski głównie kobiety z dziećmi, a ta migracja, którą obserwowaliśmy po 2014 roku, miała charakter przede wszystkim zarobkowy. Jeśli chodzi o płeć, to byli to przede wszystkim mężczyźni. Ta grupa, która przyjechała po rozpoczęciu pełnoskalowej inwazji Rosji na Ukrainie, jest lepiej wykształcona niż ci migranci, którzy przyjeżdżali do Polski wcześniej – mówiła Winiarska, nadmieniając, że ponad 75 proc. uchodźców wojennych w Polsce pracuje, a wskaźnik wśród migrantów zarobkowych wynosi ponad 90 proc.



> ***Ponad 75 proc. uchodźców wojennych w Polsce pracuje. Wskaźnik wśród migrantów zarobkowych to ponad 90 proc.***
>
> **NADIA WINIARSKA, Konfederacja Lewiatan**

O równym traktowaniu pracowników z Ukrainy mówił z kolei Krzysztof Domagała z dolnośląskiej Solidarności: – Przed inwazją Rosji na Ukrainę byli to migranci, którzy szukali lepszego życia. My jako Związek zawodowy Solidarność również byliśmy otwarci na to, by pracownicy ukraińscy mogli do nas należeć. Obejmujemy ich pełną ochroną, a więc wszystkimi świadczeniami statutowymi, i są na równi traktowani – powiedział związkowiec.

Swoją opinią na temat tego, czy Ukraińcy powrócą do ojczyzny po wojnie, podzielił się konsul Konsulatu Generalnego Ukrainy w Gdańsku Oleh Vysochan: – Oczywiście, że Ukraina po zakończeniu wojny będzie próbowała stworzyć warunki dla obywateli, by wrócili do swoich domów, ale ja jestem realistą. Nie każdy wróci, być może nawet większość – powiedział.

Na problemy wynikające z koncentracji migrantów w kilku miejscach zwracał uwagę natomiast kierownik Biura Zagranicznego NSZZ „Solidarność”. – Faktem jest, że Ukraińcy nierównomiernie osiedlali się w Polsce i mamy tereny, na których jest ich dużo – pewnie bardziej na zachodzie i dużych miastach – a jest ich niewiele w mniejszych miejscowościach. I to też ma swoje konsekwencje dla rynku mieszkaniowego – wskazywał Mateusz Szymański. – Możemy też mówić o obciążeniu systemu ochrony zdrowia, edukacji w dużych miastach, ale pytanie czy obwiniamy samych Ukraińców, czy ten system po prostu jest niewystarczająco odporny i niewłaściwie skonstruowany, skoro nie radzi sobie z wyzwaniami – zaznaczył.

PATRON HONOROWY
KPRP Patronat Kancelarii Prezydenta RP
PARTNER GŁÓWNY
NBP NARODOWY BANK POLSKI
ORGANIZATOR
Fundacja Promocji Solidarności
PARTNERZY
DOMS
PATRONI MEDIALNI
wPolsce24
Radio Gdańsk
TYGODNIK Solidarność
tysol.pl
trojmiasto.pl
TRWAM
NSZZ Solidarność

eprasa.pl b1ccbc3081

Gdzie w systemie jest pracownik

Przez ostatnie dwa lata na podstawie sygnałów dochodzących z rynku pracy prognozowano **nieuchronny kryzys**. Dziś możemy powiedzieć, że wskaźniki ekonomiczne dogoniły rzeczywistość. Jest źle i nie wydaje się, by rząd miał pomysł, jak z owym kryzysem skutecznie walczyć.

Barbara Michałowska

Podczas Kongresu Pracy, który odbył się w ubiegłym tygodniu w Gdańsku, wybrzmiały dwa ważne głosy. Po pierwsze – przekonanie, że rynek pracy nie powinien konkurować kosztami pracy. Po drugie – że najważniejszą wartością w gospodarce jest człowiek. Te tezy stanowią diagnozę problemów, które pracownicy odczuwają każdego dnia.

Pułapka konkurencji kosztowej

Budowanie przewagi gospodarczej poprzez niskie koszty pracy to droga donikąd. To już nie tylko głos pracowników, ale również ekspertów rynku pracy. Wskazują, że taka strategia może przynosić krótkoterminowe korzyści poszczególnym firmom, ale w dłuższej perspektywie prowadzi do uzależnienia od taniej siły roboczej i blokuje rozwój technologiczny oraz innowacyjny.

Polska nie powinna więc, jak twierdzono przez lata, konkurować „taniością pracownika", lecz jakością pracy i kapitałem ludzkim. To ważne przesunięcie akcentów: zamiast traktować pracę jako koszt, należy widzieć w niej inwestycję.

Model oparty na niskich kosztach pracy przekłada się na presję płacową, niepewność zatrudnienia i konieczność ciągłego udowadniania swojej wartości. Pracownik staje się elementem konkurencji – często wymienialnym i pozbawionym realnego wpływu na warunki swojej pracy. Tymczasem wartością, którą zawsze podkreślali także przedstawiciele Solidarności, jest godność ludzi pra-



Fot. M. Żegliński

cy. Oni nigdy nie chcieli i nadal nie chcą być towarem.

– Szukajmy rozwiązania technologicznego, innowacyjnego produktu, a nie mówmy cały czas, że koszt pracy jest dla pracodawcy największym obciążeniem i przez to pracodawca nie może prowadzić swojego biznesu – mówił podczas Kongresu Pracy zastępca przewodniczącego Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność” Maciej Kłosiński.

Najważniejszy jest człowiek

Gospodarka powinna służyć człowiekowi – bez tej perspektywy rozwój ekonomiczny traci swój sens społeczny.

W wypowiedziach uczestników debat podczas Kongresu Pracy pojawiło się wyraźne przekonanie, że polityka gospodarcza nie może być prowadzona wyłącznie w oparciu o wskaźniki efektywności czy wzrostu PKB. Musi uwzględniać realne życie ludzi: ich bezpieczeństwo, zdrowie, stabilność i możliwość planowania przyszłości.

Problem polega na tym, że w praktyce często dzieje się odwrotnie. Pracownik doświadcza rosnących wymagań, presji czasu i odpowiedzialności, przy jednoczesnym ograniczonym wpływie na decyzje dotyczące jego miejsca pracy. To właśnie ten rozdźwięk między deklaracjami a rzeczywistością staje się jednym z głównych źródeł frustracji.

Zgubne samozatrudnienie

Jednym z najbardziej palących problemów pozostaje podział rynku pracy. W analizach związkowych wielokrotnie podkreślano, że mamy dziś do czynienia z dwoma równoległymi światami: stabilnych etatów oraz niestabilnych form zatrudnienia.

„Rozwarstwienie pracownicze”, a szczególnie duża liczba osób na tzw. samozatrudnieniu, destabilizuje rynek pracy. Z punktu widzenia pracownika oznacza to życie w permanentnej niepewności. To także osłabienie wspólnoty pracowniczej, która historycznie była fundamentem skutecznej obrony praw pracowniczych. Niestety, patologia związana z umowami śmieciowymi nie zostanie, zdaniem Solidarności, rozwiązana nowelizacją ustawy o PIP w obecnym kształcie. Piotr Duda określił ją jako „pudrowanie rzeczywistości”. Na dobre, realne zmiany będziemy musieli jeszcze poczekać.

Stabilność jest ważna również w kontekście rosnących kosztów życia. Jeśli podwyżki „zjada” inflacja – rosną ceny mieszkań, energii, usług i żywności, w efekcie pracownik znajduje się w sytuacji, w której pracuje więcej lub równie intensywnie jak wcześniej, ale jego standard życia pozostaje na podobnym poziomie. To rodzi poczucie niesprawiedliwości i podważa zaufanie do systemu gospodarczego.

Kryzys dialogu

Stabilny rynek to wyważenie interesów różnych grup społecznych, między którymi powinien toczyć się uczciwy dialog społeczny. Dziś jednak, choć istnieją instytucje do tego powołane, przede wszystkim Rada Dialogu Społecznego, to w praktyce dialog społeczny w Polsce się załamał.

Solidarność podkreśla, że dialog nie może być jedynie formalnością. Musi prowadzić do realnych decyzji i kompromisów. Bez tego pracownicy tracą wpływ na rzeczywistość, w której funkcjonują.

Bez realnego dialogu nie ma mowy o sprawiedliwym rynku pracy. Sam wzrost gospodarczy nie gwarantuje bowiem poprawy sytuacji pracowników, jeśli nie towarzyszą mu mechanizmy redystrybucji i ochrony praw pracowniczych.

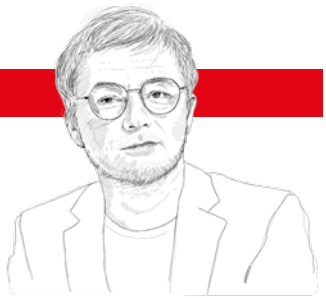
Z punktu widzenia pracownika oznacza to również potrzebę silnej reprezentacji – takiej, która nie tylko reaguje na problemy, ale także współtworzy politykę gospodarczą.

Wobec narastających problemów na rynku pracy, masowych zwolnień, pogarszających się wskaźników gospodarczych, uwaga rządu powinna być zwrócona w stronę dialogu i rozwiązań, które nie pogłębiają pracowniczych problemów. Jednak tak nie jest. Sygnały dochodzące z poszczególnych zakładów pracy czy branż potwierdzają, że PO, podobnie jak w latach swoich poprzednich rządów, przez pryzmat pracownika nawet nie próbuje spojrzeć. Tymczasem danie pracownikom poczucia zachowania godności i podmiotowości, nawet jeśli nie zlikwidowałoby wszystkich problemów polskiego rynku pracy, na pewno złagodziłoby szok, który przeżywają obecnie w związku z niepewną sytuacją gospodarczą.

POLITYKA GOSPODARCZA MUSI UWZGLĘDNIAĆ REALNE ŻYCIE LUDZI: ICH BEZPIECZEŃSTWO, ZDROWIE, STABILNOŚĆ I MOŻLIWOŚĆ PLANOWANIA PRZYSZŁOŚCI.

eprasa.pl b1ccbc3081

ŚWIAT WEDŁUG WRÓBLA



Jednak Polska dla Polaków

Jan Wróbel

Już się kiedyś wywnętrzyłem przed czytelniczkami i czytelnikami (w nowomowie: czytelosobami), że 1 Maja to dla mnie coś. Owszem, świetnie pamiętam nudę pierwszomajowych pochodów w czasach Edwarda Gierka. To znaczy... tak naprawdę to pamiętam radiowe i telewizyjne wzmożenie oraz ojca naukowca, który szydząc z Polski Ludowej, dreptał jednak na zbiórkę pracowników Polskiej Akademii Nauki. Sam w pochodach nie uczestniczyłem, bo mi mama nie pozwalała. Serio! Uważała, że długie stanie w tłoku, w słońcu, odbędzie się ze szkodą dla zdrowia. No i nie.

Kiedy generał Jaruzelski wprowadził stan wojenny, miałem już prawie 18 lat i w anty-pochodzie, organizowanym przez MRK „S", mogłem brać udział bez zgody mamy. Chociaż potencjalnie mógł się on okazać nawet bardziej szkodliwy dla zdrowia... Z entuzjazmem kręciłem się z solidarnościowym narodem od Starego Miasta do Nowego Miasta. Jedna z najlepszych chwil w całym życiu.

I, uwaga, dziwne mikrowspomnienie z tego dnia. W którymś momencie, pamiętam nawet, że dokładnie wtedy, kiedy wychodziliśmy z Rynku Nowego Miasta, ktoś zakrzyknął: „Polska dla Polaków!". Też ten okrzyk podjąłem. Szybko zresztą zgasł, przykryty hasłami zwyczajowymi dla solidarnościowych manifestacji.

Nie, nie byłem zachowanym w naftalinie przedwojennym nacjonalistą. Nie, nie byłem polskim antysemitą. Byłem po prostu typowym warszawskim nastolatkiem wychowanym na pisemkach KOR, Oazie i w końcu Solidarności. Uważałem wszystkich ludzi dobrej woli za braci, a każdy w opozycji był dla mnie człowiekiem dobrej woli. Skąd zatem ta „Polska dla Polaków"?

Mam w pamięci ten pośpieszny proces myślowy, który doprowadził mnie do wniosku, że hasło jest słuszne, solidarnościowe, zgodne z doktryną Jana Pawła II i świętego Lecha Wałęsy arłamowskiego. Po prostu „Polakami" są ci, którzy walczą o sprawiedliwą Polskę. „Nie-Polakami" ci drudzy. I niech tak będzie zatem, Polska dla Polaków, a Moskwa dla jaruzelaków. Junta juje! (Nawet myślę po latach, że inicjujący ten okrzyk demonstrant też mógł tak rozumować, a nie, że postrzegał WRON jako juntę mędrców Syjonu. Ale nie wiem).

I NIECH TAK BĘDZIE ZATEM, POLSKA DLA POLAKÓW, A MOSKWA DLA JARUZELAKÓW...

Jak pamiętamy, mimo przelanej w walkach o Solidarność krwi, mimo autentycznych krzywd i mimo oczywistego związania aparatu PRL z władzą obcą jakoś się nie przyjęło uważać, że po dobrej stronie byli Polacy, a po drugiej nie-Polacy. Ba, przeciwnie, bój toczył się o to, aby „oni" („władza") i „my" („społeczeństwo") nareszcie siedli do rozmów. Takich z gatunku, jakże idealizowanego, rozmów jak Polak z Polakiem. W końcu siedli, dogadali się. Może nawet za bardzo.

Jedni z piękną polską kartą w życiorysie, drudzy ze spodniami wytartymi na kolanach, niemniej – Polacy. I taka też Polska powstała, dla Polaków, jacy by nie byli.

eprasa.pl b1ccbc3081

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ



Remigiusz Okraska

Kręcenie lodów po nowemu

Za poprzednich rządów liberałowie planowali to, co ówczesna posłanka PO Beata Sawicka nazwała „kręceniem lodów" na prywatyzacji szpitali. Dzisiaj są bardziej sprytni.

Zaczęło się od likwidacji oddziałów ginekologiczno-położniczych. Przetrwać mają tylko te, które przyjmują ponad 400 porodów rocznie, czyli wielkomiejskie. Reszta jest do likwidacji. Już zamknięto kilkadziesiąt z nich. Na przykład w Brzezinach koło Łodzi – najlepszy w województwie i szósty w kraju. W Myszkowie „zawieszono" oddział wielokrotnie nagradzany w prestiżowym rankingu „Rodzić po ludzku".

Narodowy Fundusz Zdrowia znacząco zmniejszył dostępność badań i wizyt u specjalistów. Przywracane są – zniesione za rządów PiS – limity badań gastroskopii, kolonoskopii, rezonansu magnetycznego i tomografii. Po przekroczeniu limitów szpital otrzyma z NFZ tylko 50% kosztów badania. Wybór dla dyrekcji placówek jest jasny. Albo zadłużą szpital, albo nie zrobią badań, które pomogą uratować życie czy rozpoznać groźną chorobę, zanim stanie się trudniejsza do wyleczenia.

To samo z operowaniem zaćmy. Za rządów Prawa i Sprawiedliwości zniesiono limity na te zabiegi. Drastycznie skrócono kolejki i przyspieszono odzyskiwanie dobrego wzroku obywateli. Teraz znowu będą limity oraz refundacja tylko 50% kosztów dla szpitali, które zdecydują się operować po ich przekroczeniu.

Gdy to piszę, trwa „Czarny Tydzień" – protest szpitali powiatowych. Ponad 40 z nich może wkrótce zbankrutować.

Deficyt budżetu NFZ jest rekordowy w dziejach naszego państwa. Zmniejszono nakłady na żywienie pacjentów szpitalnych. Zamyka się kolejne oddziały. Przerywane są terapie lekowe.

Po zaledwie czterech miesiącach roku wiele operacji i badań jest przesuwanych na 2027 rok. Hołownia zapowiadał, że lekarze będą dzwonić do pacjentów. I dzwonią: aby odwołać zabiegi ciężko chorym osobom.

To nie błąd ani nieudolność. To kręcenie lodów. Nowym dyrektorem publicznej instytucji Centrum eZdrowia został Jarosław Sot. Facet z elity bankowości i finansów. Jego poprzednie stanowisko pracy to dyrektor prywatnego szpitala sieci LUX MED – największego w kraju prywatnego podmiotu medycznego. To sponsor Campusu Polska. Co za „przypadek".

Likwidowane czy „konsolidowane" placówki publiczne to cenny łup. Pożywią się polityczni i biznesowi przyjaciele liberałów. Pacjenci, których nie leczy się za darmo, zapłacą za to słono prywatnie. Wyłożą nawet ostatnie pieniądze, aby ratować życie i zdrowie.

Zarobi elita biznesu. I elita lekarska. W realiach chaosu, zapaści i ludzkich cierpień przyklepie się niejeden tłusty interes.

Jurek Owsiak będzie miał na co zbierać i udawać szlachetnego, który ratuje życie. A elektorat klasośredni i wielkomiejski chętnie wyda pieniądze na miraże. Tusk opowie im o nowoczesności, rentowności i niedopłacaniu do „niezaradnych" z „ciemnogrodu". Bo najmocniej uderzy to przecież w biednych, słabych, z prowincji itp.

A gdy brak leczenia czy brak pieniędzy na prywatne badania przytrafi się komuś z wyborców liberałów? Wielu z nich jest tak zaczadzonych, że gotowi są nawet poprzeć partię czynem – umierając przed terminem.

eprasa.pl b1ccbc3081

Strefa euro pełna nierówności

– Rozwarstwienie pomiędzy poszczególnymi państwami, które od samego początku są w strefie euro, na przestrzeni lat wyłącznie wzrosło. To nie jest tak, że strefa euro buduje spójność – mówi **Artur Soboń**, ekonomista, członek zarządu Narodowego Banku Polskiego, w rozmowie z **Agnieszką Żurek**.

– W jaki sposób możemy czerpać z doświadczeń państw, które wprowadziły euro i dziś ponoszą tego negatywne konsekwencje?

– Jedne wprowadziły, inne nie. Są państwa w UE, takie jak choćby Szwecja, które znajdują się poza strefą euro i mają się znakomicie. W przypadku Polski trzeba zaznaczyć, że posiadanie własnej waluty bardzo dobrze służy naszej gospodarce.

– Dlaczego?

– Nasza gospodarka rośnie, rośnie nasze PKB, a złoty, mówiąc kolokwialnie, doskonale „absorbuje szoki". Tak było przy wszystkich większych kryzysach. Złoty był „zderzakiem", który sprawiał, że mimo krótkookresowych turbulencji gospodarka szybko wracała na swoją ścieżkę wzrostu. Wciąż jesteśmy gospodarką, która rośnie dwu-,



Fot. M. Żegliński

trzykrotnie szybciej niż gospodarki strefy euro. Dlatego potrzebujemy innych, na ogół wyższych, stóp procentowych niż strefa euro.

Jeżeli spojrzymy na mniej zamożne gospodarki Unii Europejskiej, które w przeszłości wchodziły do strefy euro, to częstym zjawiskiem po przyjęciu wspólnej waluty był tak zwany cykl boom and bust. Oznacza to, że wejście do strefy euro rzeczywiście na początku było motorem wzrostu gospodarczego, ale wiązało się ze wzrostem braku równowagi makroekonomicznej, w szczególności z nadmiernym wzrostem kredytu, bo stopy procentowe po prostu okazywały się zbyt niskie. W pewnym momencie gospodarka hamuje i pojawiają się problemy wynikające z nadmiernego zadłużenia – publicznego bądź prywatnego. Tak stało się na przykład w Grecji czy w Hiszpanii.

Pomiędzy rokiem 2000 a 2010 w Grecji mieliśmy kryzys zadłużenia publicznego i wzrost bezrobocia, szczególnie wśród młodych ludzi. W tym kraju do tej pory PKB per capita jest niższe niż przed wejściem do strefy euro.

Gospodarka potrzebuje stóp procentowych na poziomie, który jest adekwatny do jej cech strukturalnych, w tym zwłaszcza długookresowego tempa wzrostu PKB.

– Polska gospodarka lepiej radzi sobie z kryzysami, kiedy operujemy złotym?

– Tak. Po pierwsze, jak już wspomniałem, płynny kurs złotego amortyzuje wstrząsy. Inaczej mówiąc, w sytuacji kryzysu kurs złotego się osłabia i dzięki temu bezrobocie rośnie mniej albo nie rośnie w ogóle.

Po drugie, dzięki posiadaniu własnej waluty możemy elastycznie zmieniać stopy procentowe, co również czyni naszą gospodarkę bardziej odporną na turbulencje. Na przestrzeni ostatnich 20 lat Polska zmieniała stopy procentowe 62 razy. W strefie euro były one zmieniane 46 razy. Mogliśmy reagować z odpowiednim wyprzedzeniem na sytuację gospodarczą i robić to w bardziej precyzyjny, chirurgiczny sposób, niż może to zrobić Europejski Bank Centralny, który przecież podejmuje decyzje z myślą o całej strefie euro. Poszczególne państwa są jednak w różnej sytuacji gospodarczej. Dlatego bank centralny spełnia rolę arbitra, który musi wziąć pod uwagę rozmaite czynniki i godzić interesy poszczególnych państw. To oczywiste, że jest tym samym o wiele mniej elastyczny. Siłą rzeczy w strefie euro przewagę mają państwa największe, przede wszystkim Niemcy, bo to one są największą gospodarką.

TYM, CO SŁUŻY W POLSCE WYRÓWNANIU POZIOMU ŻYCIA, ZDECYDOWANIE JEST POLSKI ZŁOTY I PŁYNNY KURS WALUTOWY.

– Czy komuś poza lobby niemieckim zależy na wprowadzeniu w Polsce euro?

– Zacznijmy od tego, że dziś nie spełniamy elementarnych kryteriów konwergencji, żeby wejść do strefy euro, teoretycznie więc nie ma tematu. Trzeba jednak pamiętać, że tego rodzaju decyzje mają w większym stopniu charakter polityczny niż ekonomiczny.

Rząd jest jednak zależny od wzrostu gospodarczego, więc dzisiaj z całą pewnością nie będzie tym, który zdecyduje się na próbę wprowadzenia Polski do strefy euro. Z pewnością takie próby nie uzyskałyby akceptacji społecznej ani większości parlamentarnej. Nie byłoby na to także zgody Narodowego Banku Polskiego.

Zdarzało się już jednak w naszej historii, że tematy, które wydawały się niepopularne społecznie, były forsowane przez rząd. Dla Solidarności najbardziej znamienną tego rodzaju sytuacją było choćby podniesienie wieku emerytalnego.

Zaletą tego, że w roku 2027 odbędą się wybory, jest m.in. to, iż rząd musi brać pod uwagę reakcje wyborców na swoje decyzje. A te byłyby zapewne... nieprzesadnie entuzjastyczne.

– Czy wprowadzenie euro zwiększyłoby rozwarstwienie społeczne, czy je zmniejszyło?

– Rozwarstwienie pomiędzy poszczególnymi państwami, które od samego początku są w strefie euro, na przestrzeni lat wyłącznie wzrosło. To nie jest tak, że strefa euro buduje spójność pomiędzy poszczególnymi krajami. Jeśli zestawimy najbogatsze i najbiedniejsze kraje strefy euro i przeanalizujemy, jakie panuje w nich bezrobocie, jaki jest dług publiczny czy prywatny, zauważymy, że rozwarstwienie przez lata wyłącznie się pogłębiło. Tym, co służy w Polsce wyrównaniu poziomu życia, zdecydowanie jest polski złoty i płynny kurs walutowy oraz – rzecz jasna – mądre decyzje w prowadzeniu polityki pieniężnej.

eprasa.pl b1ccbc3081

Jeśli natomiast chodzi o rozwarstwienie społeczne w ramach jednego kraju, to – jak już wspomniałem – po wprowadzeniu euro dostosowania w gospodarkach w większym stopniu odbywają się poprzez rynek pracy, a nie nominalny kurs walutowy. Oznacza to większą zmienność bezrobocia, w tym jego silne wzrosty w okresach kryzysów. To oczywiście pogłębia rozwarstwienie społeczne. Dla przykładu po globalnym kryzysie finansowym bezrobocie wśród młodych w Grecji przejściowo przekroczyło nawet 60%, a w Hiszpanii – 55%. Zresztą warto zauważyć, że również w krajach Europy Środkowo-Wschodniej z własną walutą bezrobocie w czasach kryzysów rosło wyraźnie mniej niż w krajach regionu, które przyjęły euro, i pozostaje w nich długookresowo niższe.

– Jeśli już się wejdzie do strefy euro, to nie jest łatwo ją opuścić, jeśli coś pójdzie nie tak. To trochę droga w jedną stronę.

– Wielka Brytania opuściła całą Unię Europejską z wielkim hukiem i – nawiasem mówiąc – bez specjalnych korzyści. Ale tak, wyjście ze strefy euro to operacja, która byłaby bardzo trudno odwracalna i kosztowna. Tym, na czym korzystają polskie przedsiębiorstwa i polska gospodarka, jest oczywiście przede wszystkim wspólny rynek UE. Pamiętajmy o tym, że to nie transfery w postaci środków europejskich ani żadne inne rozwiązania napędzają polską gospodarkę, ale że czynią to nasze firmy, które na rynku europejskim funkcjonują po prostu jak na rynku krajowym. To dzięki pracowitości Polaków, ich kompetencjom i przedsiębiorczości polska gospodarka wykorzystuje szansę, którą daje wspólny rynek UE.

– Pomysły wprowadzania w Polsce euro z pewnością nie są ideami, które byłoby racjonalnie rozważać w czasie kryzysu i niepewności.

– Nie potrafię dzisiaj wskazać, uczciwie mówiąc, dobrego momentu, kiedy mielibyśmy rozpocząć poważną dyskusję na temat wejścia do strefy euro. Ta dyskusja jest nieuzasadniona zwłaszcza teraz, gdy jak na dłoni widać korzyści, które Polska osiąga dzięki własnej walucie i możliwości prowadzenia niezależnej polityki pieniężnej. Bo to dzięki skutecznej polityce NBP w poprzednich latach w odpowiedzi na globalne „megaszoki" inflacja jest obecnie zgodna z celem NBP. W marcu wyniosła 3,0%. Jednocześnie polski PKB jest o 18% wyższy niż przed pandemią, przy utrzymującej się stagnacji w Niemczech.

Jednocześnie w sytuacji rosnącego zadłużenia publicznego, trudnej sytuacji budżetowej, a także przy gigantycznych wyzwaniach związanych z kwestią energetyki wprowadzenie euro z pewnością nie byłoby korzystne. Trzeba także pamiętać, że polska gospodarka wciąż jest na etapie przechodzenia transformacji, zatem posiadanie narzędzia w postaci własnej waluty jest dużo bardziej skuteczne oraz mniej kosztowne społecznie i fiskalnie niż inne dostępne rozwiązania.

Niektórzy wskazują, że po wejściu do strefy euro w sytuacji kryzysów większą rolę w stabilizowaniu gospodarki może odgrywać polityka fiskalna – czy to krajowa, czy na szczeblu UE. Jednak transfery fiskalne czy środki z UE nie zawsze będą skuteczną odpowiedzią na wyzwania poszczególnych krajów, w tym zwłaszcza w obliczu możliwej utraty konkurencyjności po przyjęciu euro.

Zawsze będę podawał tutaj przykład bliskiej mi Polski Wschodniej i przeznaczonych dla niej programów finansowych. Mimo transferu tych środków województwo lubelskie wciąż należy do najbiedniejszych w kraju. Podobnie jest w przypadku NRD czy południowych Włoch. Pomimo przekazania na przestrzeni lat gigantycznych środków nie bardzo widać, aby przyniosły one zamierzony efekt i faktycznie wyrównały poziom życia w obrębie Włoch i Niemiec.

Posiadanie własnej waluty o płynnym kursie jest o wiele bardziej efektywnym narzędziem stabilizowania koniunktury, wspierania gospodarek w kryzysie czy przywracania konkurencyjności.

TO DZIĘKI SKUTECZNEJ POLITYCE NBP W POPRZEDNICH LATACH W ODPOWIEDZI NA GLOBALNE „MEGASZOKI" INFLACJA JEST OBECNIE ZGODNA Z CELEM.

Dr Artur Soboń jest ekonomistą, członkiem zarządu Narodowego Banku Polskiego, przedstawicielem NBP w Komisji Nadzoru Finansowego. Przez wiele lat był politykiem, samorządowcem i posłem na Sejm RP. Pełnił funkcje m.in.: sekretarza stanu w Ministerstwie Inwestycji i Rozwoju, Ministerstwie Funduszy i Polityki Regionalnej, Ministerstwie Aktywów Państwowych, Ministerstwie Rozwoju i Technologii oraz Ministerstwie Finansów.

eprasa.pl b1ccbc3081

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ



Karol Gac

Co dalej?

Za kilka dni 235. rocznica uchwalenia Konstytucji 3 maja. To dobra okazja, by pochylić się nad tym, co dalej z obecną ustawą zasadniczą i państwem polskim. Nihil novi sine communi consensu.

Jak powszechnie wiadomo, Konstytucja 3 maja była pierwszą w Europie i drugą na świecie nowoczesną, spisaną ustawą zasadniczą. Najogólniej dokument ten reformował ustrój Rzeczypospolitej, wprowadzając monarchię konstytucyjną, trójpodział władzy, znosząc liberum veto, ograniczając przywileje szlachty oraz zwiększając prawa mieszczan i ochronę chłopów. Niestety, obowiązywała tylko przez rok, zanim została obalona przez armię rosyjską wraz z konfederacją targowicką. Chociaż droga do Konstytucji 3 maja nie była prosta, to niewątpliwie jest to nasz powód do dumy, o czym warto pamiętać.

3 maja to dla mnie dzień, w którym moje myśli krążą wokół naszego państwa – jego wspaniałej, choć trudnej, historii, ale i niepewnej przyszłości. Słuchając kolejnych wystąpień na uroczystościach w Warszawie, z jednej strony podziwiam, ile udało nam się osiągnąć, lecz z drugiej doskonale wiem, jak wiele szans zostało zmarnowanych. Ostatnie lata są tego najlepszym przykładem.

Niejako przy okazji obnażyły one również z całą mocą słabość obecnej konstytucji z 1997 roku. Warto przy tym wspomnieć, że wbrew powszechnemu mitowi nigdy nie cieszyła się ona tak dużym mandatem społecznym, jak próbują nas przekonać jej autorzy i zwolennicy. Za przyjęciem ustawy zasadniczej opowiedziało się, owszem, 53,81 proc. głosujących, lecz przy frekwencji wynoszącej 42,86 proc. Kiedy zestawi się te dwie liczby, to wygląda to już nieco mizerniej, prawda?

Nie zmienia to faktu, że choć zawiera ona elementy dobre, to – jak wspomniałem – ostatnie lata skrajnej polaryzacji pokazały wyraźnie, że nie wszystko działa tak, jak powinno. Z jednej strony trudno mieć pretensje, że nie wszystkie sytuacje zostały przewidziane w konstytucji, ponieważ – umówmy się – część z nich dalej nie mieści się w głowie, lecz z drugiej, stworzyło to podatny grunt, by nie traktować jej poważnie lub wręcz ostentacyjnie ją łamać.

Obecny spór polityczno-prawny doszedł do momentu, w którym coraz więcej środowisk przyznaje mniej lub bardziej otwarcie, że niezbędny jest pewnego rodzaju „reset konstytucyjny". Najgłośniej mówi o tym Konfederacja. Można oczywiście dyskutować, na czym miałby polegać ów reset, lecz jednocześnie coraz mocniej widać, że obecna ustawa zasadnicza po prostu się wyczerpała.

Oczywiście, od diagnozy do recepty droga bardzo daleka i kręta. Nowa konstytucja to zresztą jeden z głównych postulatów prezydenta Karola Nawrockiego. Podobne zdanie miał również jego poprzednik Andrzej Duda. Tyle że potrzeba do tego 2/3 głosów w Sejmie, a to wydaje się – przynajmniej na ten moment – bardzo mało prawdopodobne, by nie napisać niewykonalne.

eprasa.pl b1ccbc3081



Proj. K. Karnkowski

Algorytm to surowy pan

Sztuczna inteligencja fascynuje i przyciąga, budzi nadzieję i grozę. Najbardziej obawia się jej świat pracy. I słusznie.

Jakub Pacan

Sztuczna inteligencja witana była przez świat pracy już bez hurraoptymizmu, jak zdarzało się to wcześniej przy okazji kolejnych rewolucji technologicznych czy innowacji w gospodarce. Wprawdzie daleko nam do XIX-wiecznych sabotażystów, którzy wrzucali swe drewniane buty – saboty – do maszyn, by je psuć, bo te odbierały im pracę, lecz ogromna grupa Polaków boi się o swoją pracę w związku z rozwojem SI.

Rewolucja w rewolucji

Od kilku lat jak grzyby po deszczu pojawiają się raporty pokazujące, jak głęboko SI zmienia naszą pracę. Spośród wielu wniosków wyłania się kilka generaliów: sztuczna inteligencja wpłynie mniej lub bardziej – ale jednak – na życie zawodowe każdego z nas, zmusi nas do podjęcia nauki aż do emerytury, mimo to wiele osób i tak będzie musiało się przekwalifikować, ponieważ generatywna SI spowoduje, że wiele miejsc pracy stanie się niepotrzebnymi.

Według raportu NASK 30,3% miejsc pracy w Polsce – ok. 5,08 mln stanowisk – jest podatnych na wpływ generatywnej sztucznej inteligencji. Jednocześnie około 817 tys. osób pracuje w zawodach o najwyższej ekspozycji na automatyzację.

Z kolei oświatowa Solidarność wraz z Polskim Towarzystwem Cyfrowym w badaniach dot. scenariuszy dla edukacji do 2040 roku wskazują, że w gospodarce opartej na wiedzy system merytokratyczny jest bezwzględny: 8–12% „innowatorów" z obszaru nowych technologii, robotyki, profesjonalnie zarządzających SI ma dochody na poziomie 250–350% mediany krajowej. 50–55% „wykonawców" z administracji i usług, czyli grupa najszersza, to 80–120% krajowej, klasa C: 33–40% „wykluczonych" bezrobotnych ma miesięcznie 35–55% mediany krajowej. Przy czym najprostsze zawody i usługi są najmniej zagrożone wpływem sztucznej inteligencji. Do roku 2040 powstanie 300–400 nowych kategorii zawodowych. Przewiduje się przekwalifiko-

eprasa.pl b1ccbc3081

wanie dla 100 000 osób rocznie, by tak głęboko zachodzące zmiany maksymalnie amortyzować.

Tutaj jest pewna pułapka, ponieważ nikt z klasy rządzącej nie jest przygotowany na to pracownicze tsunami, mimo iż wiadomo, które branże będą najbardziej narażone na „wypłukanie" miejsc pracy. W Polsce to: administracja biurowa, finanse i księgowość, marketing i media, prawo, IT na poziomie mało zaawansowanym.

Według Polskiego Towarzystwa Cyfrowego fundamentalnym problemem jest asymetria między liczbą miejsc pracy eliminowanych przez SI a liczbą nowych miejsc pracy powstających w zawodach wysokospecjalistycznych. Do roku 2040 sztuczna inteligencja wyeliminuje w Polsce około 2,5–3,5 miliona miejsc pracy. W tym samym okresie powstanie jedynie 400–600 tysięcy wysokospecjalistycznych nowych miejsc pracy.

Pracownicy, którzy dla ambicji – częściej jednak z konieczności – będą chcieli nadążać za wyzwaniami SI, narażeni będą na spore przeciążenia psychiczne. Dane Polskiej Agencji Rozwoju Przedsiębiorczości (PARP) wskazują, że 52 proc. osób z generacji Z obawia się negatywnego wpływu sztucznej inteligencji na rynek pracy. Te lęki dotyczą nie tylko cięć wśród stanowisk juniorskich, ale powstania permanentnej presji kompetencyjnej, która zaczyna pełnić funkcję nowego mechanizmu selekcji na rynku pracy.

Nauka i stres

Jeszcze dekadę temu rozwój zawodowy miał charakter etapowy – zdobywało się kwalifikacje, które pozostawały użyteczne przez lata. Dziś ten model się rozpada. Sztuczna inteligencja, szczególnie generatywna, skraca cykl życia kompetencji do kilku lat, a czasem miesięcy. To oznacza, że pracownik nie konkuruje już z innymi ludźmi, ale także z tempem rozwoju technologii. Doświadczeni pracownicy zaczynają mieć poczucie, że ich umiejętności są „nieaktualne". Ciągłe niedopasowanie kompetencyjne generuje brak stabilności, lęk o własne umiejętności, nieustające zagrożenie, spadek pewności siebie, wzrost lęku przed oceną, nadmierną samokontrolę, perfekcjonizm i trudności z odczuwaniem satysfakcji z pracy.

Dochodzi nawet do pewnego paradoksu: im więcej wysoko wykwalifikowany pracownik umie, tym bardziej musi się uczyć. Im wyższe ma kompetencje, tym większa presja ich ciągłej aktualizacji. Mimo to dla fachowców niebędących „innowatorami" w dziedzinie wysokich technologii i robotyzacji, lecz bardziej „wykonawcami", rodzi się ryzyko chronicznego poczucia bycia w tyle i nieposiadania stanu wystarczającej kompetencji.

Lęk przed „wypadnięciem z gry" i degradacją zawodową będzie zmuszał pracowników do stałego uczenia się, podnoszenia kompetencji, zdobywania nowych umiejętności, certyfikatów, aktualizowania narzędzi pracy. To wszystko coraz częściej będzie się odbywało poza godzinami pracy, w czasie wolnym pracownika.

W efekcie przesuwa się granica między pracą a czasem wolnym, uczenie się staje się częścią obowiązków, choć zazwyczaj nie jest formalnie uznawane za pracę. W wielu przypadkach pracownik coraz częściej będzie dochodził do wniosku, że rozwój zawodowy przestaje być strategią awansu, a staje się strategią przetrwania.

Stąd prosta droga do ryzyka wypalenia zawodowego, trudności w „wyłączeniu się" psychicznie, nieumiejętności odpoczynku. Badania pokazują, że coraz więcej osób funkcjonuje w stałej aktywacji poznawczej, umysł pozostaje w trybie gotowości – nawet w czasie odpoczynku. Ba, pojawiają się w końcu nowe typy różnicujące pracowników na tych, którzy potrafią funkcjonować w warunkach permanentnej zmiany, i tych, którzy tego nie wytrzymują.

W UE coraz częściej zwraca się uwagę na prawo pracownika do bycia offline i prawo do odłączenia. Od kilku lat w wybranych krajach UE, w tym w Polsce, prowadzi się badania dotyczące wpływu cyfryzacji na rynek pracy, w tym prawo do bycia offline. Biuro Eksperckie Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność" w raporcie z 2024 roku pt. „Cyfryzacja pracy i zatrudnienia. Zagrożenie czy szansa dla pracowników?" autorstwa Barbary Surdykowskiej i Jana Czarzastego pokazuje brak uregulowań tej kwestii w polskim prawodawstwie. „W Polsce prawo do odłączenia nie jest objęte żadnym aktem prawnym ani układami zbiorowymi pracy. Ograniczenie dostępności pracownika po godzinach

> PRACOWNIK CORAZ CZĘŚCIEJ BĘDZIE DOCHODZIŁ DO WNIOSKU, ŻE ROZWÓJ ZAWODOWY PRZESTAJE BYĆ STRATEGIĄ AWANSU, A STAJE SIĘ STRATEGIĄ PRZETRWANIA.

eprasa.pl b1ccbc3081

pracy wynika jednak z ogólnych przepisów polskiego Kodeksu pracy o czasie pracy oraz dotychczasowego orzecznictwa sądów pracy i Sądu Najwyższego. Kwestie związane z prawem do odłączenia są przedmiotem orzecznictwa. Zgodnie z wyrokiem Sądu Najwyższego z dnia 8 marca 2017 r. (II PK 26/16) pracownik nie ma obowiązku sprawdzania służbowej ani prywatnej poczty elektronicznej podczas urlopu wypoczynkowego".

Coraz częściej można zaobserwować presję ciągłej dostępności pracownika. Zjawisko nasiliło się szczególnie po pandemii COVID-19, gdy miliony ludzi zmuszone były do pracy zdalnej. Zacieranie się granicy między pracą a życiem prywatnym najgłębiej ujawnia się na poziomie psychicznym. Poczucie nieustannego nadzoru nad pracownikiem, także w miejscach dla niego bezpiecznych, jak własny dom lub miejsce wypoczynku, generuje dodatkowy stres. Formalnie czas pracy się nie wydłuża, ale faktycznie „wlewa się" w życie prywatne.

Algorytmiczne zarządzanie

Obawą, przed którą będzie zmuszona stawać coraz większa liczba pracujących, to zarządzanie algorytmiczne, czyli wykorzystywanie sztucznej inteligencji i zautomatyzowanych baz danych do oceny pracownika, monitorowania jego wydajności i oceniania go w czasie rzeczywistym oraz przydzielania mu zadań. Z jednej strony zwiększa to efektywność i redukuje koszty, ale niesie także ryzyko utraty autonomii i nadmiernej kontroli. Uzależnianie od SI awansu, pensji lub premii może być paradoksalnie nieprzejrzyste, a pracownicy nie będą rozumieć, dlaczego algorytm podjął taką, a nie inną decyzję, posługując się np. nieobiektywnymi danymi historycznymi. Monitorowanie pracowników z wykorzystaniem algorytmów sztucznej inteligencji zagraża ich prywatności. W USA aż 80% największych prywatnych pracodawców śledzi produktywność poszczególnych pracowników za pomocą systemów zarządzania algorytmicznego.

W sytuacji, w której to nie człowiek – ale algorytm – decyduje o tempie pracy, wysokości zarobków czy nawet o zwolnieniu pracownika, to człowiek dostosowuje się do robota, a nie na odwrót, człowiek po pewnym czasie może przejmować mentalność robota i dostosowywać się do jego oczekiwań. Dziś znane jest już zjawisko uzależnienia od aplikacji używanych np. przez sportowców czy osoby zdobywające wiedzę, np. uczące się języków obcych. Chęć otrzymania symbolicznej nagrody od aplikacji i pochwalenia przez nią powoduje nieustanne podejmowanie wyzwań, często ponad siły, i zniewolenie do korzystania z wirtualnej rzeczywistości.

Problematyczna może być także treść gromadzonych informacji o pracowniku i zacieranie się granicy między danymi wrażliwymi a tym, co jest potrzebne w pracy. Rejestrowanie i analizowanie cech osobowości pracownika, reakcji emocjonalnych, zasad etycznych czy ruchów ciała mogą zostać uznane za inwazyjne i nadmierne. Pojawia się problem gromadzenia i przechowywania tych danych zgodnie z prawem i ustawą o ochronie danych osobowych. Nadzór i monitorowanie zawsze przekładają się na jakość relacji w miejscu pracy.

Sztuczna inteligencja – nowa rzeczywistość na rynku pracy – jest również wyzwaniem dla związków zawodowych. NSZZ „Solidarność" aktywnie to wyzwanie podjął. Zagadnieniem szeroko zajmuje się biuro eksperckie Związku. W „Tygodniku Solidarność" pisaliśmy już dwa lata temu (artykuł „Zagrożenie czy szansa dla pracowników?" z nr. 30/2024 „TS"): „Liderzy związkowi muszą być gotowi do rozmów z pracodawcami na temat przejrzystości w stosowaniu zarządzania algorytmicznego, na temat jasnych zasad wdrażania i stosowania algorytmów, co winno być zawarte w pisemnej umowie. Pracownicy mają prawo być informowani zarówno o narzędziach zarządzania algorytmicznego, jak i do kwestionowania tych, które uważają za szkodliwe. Algorytmy powinny służyć do wspierania pracy menedżerów, ale nie do ich zastępowania. Związkowcy natomiast powinni domagać się dostępu pracowników do wszelkich danych zgromadzonych na ich temat oraz do wszelkich algorytmicznych ocen ich wydajności, a po odejściu z pracy – mieć prawo do żądania usunięcia wszelkich swoich danych osobowych".

W ZARZĄDZANIU ALGORYTMICZNYM PROBLEMATYCZNA MOŻE BYĆ TREŚĆ GROMADZONYCH INFORMACJI O PRACOWNIKU I ZACIERANIE SIĘ GRANICY MIĘDZY DANYMI WRAŻLIWYMI A TYM, CO POTRZEBNE W PRACY.

eprasa.pl b1ccbc3081



Piotr Skwieciński

Biedni katolicy patrzą na tyranozaura

Jeśli właśnie łyka cię tyranozaur, ale na chwilę przestaje, bo nagle dostał czkawki, gdyż z niejasnych powodów wbił mu się rogiem w brzuch oszalały triceratops, to dostrzeżesz oczywiście wariactwo tego drugiego potwora, ohydę jego zrogowaciałego kołnierza i smród bijący z paszczy. Ale czy twoją pierwszą reakcją będzie wznoszenie jak najgłośniejszych okrzyków manifestujących oburzenie tymi cechami dinozaura?

No nie wiem.

Wiedzą to natomiast liczni katoliccy publicyści (nazwisk nie wymienię, bo chodzi raczej o zjawisko), którzy ostatnio udzielają na to pytanie twierdzącej odpowiedzi.

Chodzi mi oczywiście o falę komentarzy wywołanych przez ekscesy Donalda Trumpa (i jego otoczenia) na – mówiąc umownie – katolickim odcinku, czyli o upowszechnianie własnych wizerunków jako Jezusa. O formę (bo treść – to inna sprawa) prezydenckich polemik z Leonem XIV. O sugerowanie przez Departament Wojny, że relacje Waszyngtonu z Watykanem można by przeorganizować na wzór okresu niewoli awiniońskiej (kiedy królowie Francji utrzymywali na swoim terenie antypapieży) itd., itp. To wszystko – tak jak i inne wyskoki oraz działania Trumpa – budzi zażenowanie pomieszane z rozbawieniem i – jednak – jakiegoś rodzaju strachem (bo niezrównoważona psychicznie głowa jądrowego supermocarstwa to, umówmy się, nie jest coś, do czego przyzwyczaiłaby nas historia).

To są wszystko, powtórzmy, rzeczy groteskowe i głęboko rozczarowujące.

Tylko że należy je – tak jak wszystko – widzieć we właściwych proporcjach. Rozmaici katoliccy publicyści, o których mowa, na wyścigi dają ostatnio dowody, że ten dar jest im obcy.

Jeśli poważnie potraktować ich wywody, to prezydent USA jawi się nagle jako główne zagrożenie i dla katolicyzmu, i szerzej – dla chrześcijaństwa, i może w ogóle dla religii jako takiej. Można odnieść wrażenie, że Trump zdemaskował się jako coś w rodzaju Godzilli, która nieoczekiwanie wychynęła z morza i zaraz rozdepcze kopułę Bazyliki św. Piotra. Albo jako jakiś dawny satrapa, który za chwilę ogłosi się głową chrześcijaństwa, nieposłusznych biskupów aresztuje i uczyni Kościół częścią swojej państwowej machiny.

No cóż, żyjemy w kulturze przesady i każdy ma prawo do swojego jej rodzaju. Tylko że głoszenie tego rodzaju tez w dzisiejszym świecie zachodnim, w którym – tak się akurat składa – rząd dusz sprawują raczej wrogowie religii uważający ją za przesąd godny śmietnika historii, przeciwnicy związanej z wiarą tradycyjnej kultury (i są w trakcie łykania tradycjonalistów, jak ów tyranozaur z tytułu), wydaje się być szczególnego rodzaju ekstrawagancją. Ekstrawagancją podwójną. Bo po pierwsze Trump, choćby i chciał, nie byłby w stanie zrealizować planów wymyślonych przez wzmożonych publicystów, a po drugie – realne zagrożenie dla Kościoła pochodzi ze strony dokładnie przeciwnej.

Można by na tej ekstrawagancji postawić kropkę, ale jednak tego nie zrobię, bo wyczuwam w tym pewien zamysł. Nagłe odkrycie w Trumpie (który skądinąd sam pogrąża się w morzu groteski, zmuszając nawet najwierniejszych do zwątpienia) jeszcze wroga wiary pozwala odkrywającym na bardzo komfortowe spozycjonowanie się. W latach 80. pewien PZPR-owski publicysta pisał o „polskim kształcie pluralizmu", który miał polegać na tym, że można było popierać władzę komunistów, kierując się różnymi pobudkami. Preferowany dziś kształt pluralizmu polegać ma na tym, że wszyscy mają widzieć w Trumpie inkarnację najwyższego Zła, ale mogą mieć ku temu różne powody. Wizja Trumpa-Antychrysta pozwala na bezproblemowe wpisanie się w ten obraz. A w Europie – i w Polsce – wciąż częściej opłaca się być w zgodzie z kreatorami tej wizji niż z jej przeciwnikami.

Dlatego najważniejsze, że triceratopsowi cuchnie z paszczy. I bardzo proszę pamiętać, że nigdy nie twierdziłem inaczej.

eprasa.pl b1ccbc3081

Dlaczego potrzebujemy Święta Pracy?

Dziś być może bardziej niż kiedykolwiek **potrzebujemy** Święta Pracy. Warto jednak jego symbolikę wypełnić nową treścią.

Marek Nowak

Święto Pracy w III RP od dawna pełni funkcję ideowego pariasa. Otoczenie symboliczne, a także przestrzeń debaty publicznej – zbudowana na kanwie mocno zideologizowanej dyskusji na temat demokracji, kapitalizmu czy stosunków pracy, kształtująca społeczno-polityczną rzeczywistość Polski po 1989 roku – niezmiennie dryfowały w kierunku medialnego „zamilczania" wielu tematów oraz wypchnięcia całych grup społecznych na margines. W kształtowanej coraz bardziej przez rosnący w siłę neoliberalizm debacie nie istniało de facto określenie „wykluczenie społeczne". Traktowano je jako socjologiczny czy nawet lewacki żargon. Samo zaś zjawisko albo w ogóle nie było zauważane, albo też było uważane za coś nieomal wstydliwego, na szczęście przejściowego, coś, co minie, gdy wreszcie ciągle aspirująca Polska dobije dzięki prorynkowym reformom do europejskiego ideału. Z kolei związki zawodowe czy szerzej – „świat pracy" traktowano jako wielkiego hamulcowego, nieznośną przeszkodę w marszu na drodze do „gonienia Zachodu". W sferze symbolicznej spowodowało to, że wszelkie protesty pracownicze były natychmiast poddawane medialnej delegitymizacji, a związki zawodowe były prezentowane jako grupa nierozumiejących nowych wyzwań roszczeniowców. W mainstreamowej narracji zaprzeczano nawet, że istnieje jakiś strukturalny konflikt między światem pracy a światem kapitału. Wszystko, co dobre dla biznesu, łącznie z kompletnym rozregulowaniem i uśmieciowieniem rynku pracy, miało być z samej swojej definicji dobre dla ogółu. Święto Pracy przedstawiane było jako pozbawiony znaczenia i nikomu niepotrzebny relikt przeszłości. „1 Maja to skansen. Dla Polaków i tak stał się świętem grilla" – pisano w 2014 roku na sympatyzującym ze stroną liberalną portalu naTemat.pl. Podobne głosy pojawiały się z prawej strony, choć tu wiodącą emocją



Fot. Adobe Stock

eprasa.pl b1ccbc3081

zniechęcającą do 1 Maja był antykomunizm. „W PRL-u w tym dniu spędzano ludzi na pochody pierwszomajowe, a że można było kupić na nich ptasie mleczko, to czasem ktoś pojawiał się na tych komunistycznych spędach z własnej woli. Jednak w wolnej Polsce nie ma najmniejszych powodów, by przyznawać ludziom dzień wolny od pracy, i to z czystej nostalgii za PRL-em" – pisał w 2014 roku na stronie Fronda.pl Tomasz Terlikowski. Postulaty likwidacji Święta Pracy zgłaszali zarówno związana z prawicą śp. posłanka Małgorzata Bartyzel, jak i związany z obozem liberalnym Ryszard Petru. Polska lewica na początku lat 90. Święto Pracy hucznie obchodziła, jednak zwłaszcza dla jej postkomunistycznej części od 2004 roku 1 Maja był okazją przede wszystkim do celebracji wejścia Polski do Unii Europejskiej i to ten tożsamościowy element stawał się coraz bardziej dominujący nad choćby symbolicznym przywiązaniem do świata pracy. Skąd wzięło się to święto? Co oznaczało kiedyś i co w przyszłości może jeszcze oznaczać? Spróbujmy się temu przyjrzeć.

Zrodzone z buntu

Odpowiedź na pytanie, komu zawdzięczamy Święto Pracy, nie jest łatwa przede wszystkim dlatego, że ta lista jest bardzo długa. Warto jednak pamiętać, że jest to święto, którego ustanowienie było możliwe jedynie na drodze walki i protestu społecznego, który w wielu krajach został okupiony kosztem licznych ofiar. Jeśli chcielibyśmy ustalić jego pragenezę, to należy zaznaczyć, że jako pierwsi o ośmiogodzinny dzień pracy zaczęli dopominać się w drugiej połowie XIX wieku robotnicy w Australii – stolarze i kamieniarze w Melbourne wywalczyli wtedy historyczne porozumienie „Eight hours labour, eight hours recreation, eight hours rest". Dopiero później nastąpiło to, co w literaturze historycznej najczęściej podaje się jako bezpośrednią genezę święta: wydarzenia z Chicago w 1886 roku (tzw. afera Haymarket). 1 maja rozpoczął się tam wielki strajk robotników (głównie anarchistów i socjalistów) żądających ośmiogodzinnego dnia pracy. Podczas wiecu na Haymarket Square wybuchła bomba, w zamieszkach zginęło kilkanaście osób, a w sfingowanym procesie skazano na śmierć i powieszono czterech anarchistów – stali się oni męczennikami ruchu robotniczego na całym świecie. Następnie mieliśmy Kongres Paryski w 1889 roku, który de facto animując II Międzynarodówkę, ustanowił 1 maja Dniem Walki Robotniczej. Potem Kongres w Amsterdamie, już w XX wieku, nadał temu wydarzeniu dzisiejszą postać. Jeśli natomiast chodzi o instytucjonalizację prawną, czyli uczynienie z 1 maja święta państwowego w różnych krajach, to przebiegało to bardzo różnie w poszczególnych państwach. Przechodząc na polskie podwórko, warto odnotować, jak istotne było to święto w II RP. Choć 1 Maja nie był oficjalnym świętem państwowym, to święto to na stałe było wpisane w polityczną tożsamość i tradycję ważnej na politycznej mapie Polski międzywojennej formacji, którą była Polska Partia Socjalistyczna. Już w 1919 roku obchody 1 Maja przybrały olbrzymie rozmiary i miały zróżnicowane formy. W takich miejscach jak Warszawa, w której PPS miał duże wpływy, obchody były masowe. Tam, gdzie sytuacja była inna, obchody miały charakter bardziej kameralny, ale zawsze emocjonalny. W okresie międzywojennym święto to miało charakter nie tylko artykulacji problemów świata pracy. Było również dniem konfrontacji ideologicznej nie tylko między prawicą i lewicą, ale także wewnątrz samej lewicy, na osi socjaliści z dużo mniej od nich licznymi komunistami z Komunistycznej Partii Polski. W PRL-u od roku 1950 1 Maja stał się oficjalnym świętem państwowym. Zmienił się zarówno charakter, jak i społeczna funkcja tego święta.

> DZISIEJSZY ŚWIAT PRZEKONUJE NAS, ŻE W PRACY CHODZI PRZEDE WSZYSTKIM O „WYŚCIG SZCZURÓW". ALE PRZECIEŻ NIE MUSI TAK BYĆ. RÓWNIE DOBRZE MOŻE CHODZIĆ O WSPÓLNOTĘ, WZAJEMNĄ POMOC I WSPARCIE.

Naznaczone przez PRL

Niestety dziś nie mamy żadnych narzędzi, by wiarygodnie ustalić, na ile w Polsce Ludowej 1 Maja był świętem świadomie celebrowanym, ›

eprasa.pl b1ccbc3081

a na ile był w sposób bierny przyjmowany do wiadomości. Z pewnością jednak należy odnotować jego nową rolę. Ze święta, które wywodziło się z tradycji protestu i walki, przeistoczyło się stopniowo w święto o piknikowym charakterze. Z czasem jedyną funkcją, jaką zdawało się ono pełnić, była legitymizacja władzy i petryfikacja ówczesnego systemu. Stan wojenny, poza skutkami społecznymi, przyniósł również skutek polityczny w postaci osłabiania roli Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej w strukturach władzy, a siłą rzeczy także osłabiania resztek ideologii, jaka temu systemowi towarzyszyła. Ekipa Wojciecha Jaruzelskiego nie była zainteresowana nawet ideowymi ozdobnikami, dlatego stopniowo kolejne obchody świąt państwowych, w tym także 1 Maja, były coraz skromniejsze, a różne formy nacisku na pracowników różnych zakładów pracy, np. nauczycieli, uczniów itd., dotyczące uczestnictwa w pochodach zaczęły zanikać. Na początku III RP dla SLD, wcześniej SdPR, organizowanie pochodów pierwszomajowych było sposobem na utrzymanie więzi z ideologiczną częścią własnego zaplecza oraz elektoratu, a także narzędziem podsycania społecznej nostalgii za okresem PRL-u, będącej filarem sukcesu SLD w latach 90. Swoistym paradoksem jest, że 1 Maja jest świętem wyrosłym ze społecznego buntu, tymczasem polska postkomunistyczna lewica po 1989 roku stała na antypodach jakkolwiek rozumianego społecznego radykalizmu i mało komu kojarzyła się ze społecznym buntem. Dla mniejszych ugrupowań lewicowych Święto Pracy było bezprecedensową możliwością dotarcia do mediów. Dlatego właśnie na początku lat 90. duże manifestacje były organizowane przez PPS. Jednak polska lewica, zarówno ta o korzeniach postkomunistycznych, jak i ta, którą próbowano budować jako jej alternatywę, nie zdołała wypełnić Święta Pracy nową polityczną i społeczną treścią. Jako swoisty wehikuł nostalgii PRL-owskiej było ono przez pewien czas użyteczne dla tej części sceny politycznej. Jednak wraz ze stopniowym zanikiem podziału postkomunistycznego oraz ewolucją tożsamości SLD z partii podkreślającej swoje PRL-owskie korzenie w kierunku zapatrzonego w UE prymusa III RP dawna polityczna treść święta 1 Maja stała się nieaktualna, zawieszona w próżni, odwołująca się do emocji, której nikt już nie podsyca. Może to czas, by poszukać nowej treści?

> WARTO PAMIĘTAĆ, ŻE JEST TO ŚWIĘTO, KTÓREGO USTANOWIENIE BYŁO MOŻLIWE JEDYNIE NA DRODZE WALKI I PROTESTU SPOŁECZNEGO, KTÓRY W WIELU KRAJACH ZOSTAŁ OKUPIONY KOSZTEM LICZNYCH OFIAR.

> ŚWIĘTO PRACY TO COŚ DUŻO WIĘKSZEGO I WAŻNIEJSZEGO NIŻ WOJNY LEWICY Z PRAWICĄ W JAKIMKOLWIEK KRAJU.

Przesłanie na 1 Maja

Oczywiście w polskich warunkach 1 Maja to święto o wyraźnie lewicowej konotacji. Spadek jego społecznego znaczenia można więc w bardzo prosty sposób tłumaczyć spadkiem społecznego znaczenia lewicy w naszym kraju. Idąc dalej tym tropem, można dojść do konkluzji, że nikogo poza lewicą nie powinno ono obchodzić. To jednak podejście bardzo redukujące. Osobiście uważam, że Święto Pracy to coś dużo większego i ważniejszego niż wojny lewicy z prawicą w jakimkolwiek kraju. Jest docenieniem i należnym uhonorowaniem ludzi pracy, którzy codzienną, nierzadko ciężką, źle płatną i nieobdarzoną odpowiednim społecznym prestiżem pracą budują siłę i odporność państwa. O tej ważnej funkcji pamiętają choćby wszyscy amerykańscy prezydenci, niezależnie od różnic politycznych, którzy uroczyście celebrują Święto Pracy w Stanach Zjednoczonych (Labour Day) przypadające w pierwszy poniedziałek września. W zeszłym

eprasa.pl b1ccbc3081

roku w ramach jego obchodów administracja Donalda Trumpa wydała proklamację i zawiesiła wielki baner przed Departamentem Pracy z hasłem „American Workers First". Docenienie wartości ludzkiej pracy ma być jednym z najważniejszych elementów, który przynajmniej w kwestii symbolicznej spaja Amerykanów jako naród. Jednak główny powód, dla którego szczególnie dzisiaj potrzebujemy Święta Pracy, jest inny. Współczesny kapitalizm w rozumieniu antropologicznym jest systemem dążącym do skrajnej indywidualizacji jednostki, wyizolowania jej z jakichkolwiek związków i więzi społecznych. Wyzwolenie z więzi odpowiedzialności za innych ma zwiastować obietnicę szczęścia dla jednostki, ale zamiast tego dużo częściej odczuwa ona słabość i samotność. Z kolei na poziomie systemowym pozbawia się ją społecznej sprawczości. Skoro nie ma żadnej wspólnoty, to potencjalny problem np. z niewypłacaniem pensji nie jest problemem grupy, lecz jednostek. – Nie ma czegoś takiego jak społeczeństwo. Są tylko indywidualni mężczyźni i kobiety oraz rodziny – mówiła w 1987 roku turbokapitalistyczna i nienawidząca związków zawodowych premier Wielkiej Brytanii Margaret Thatcher. Tymczasem Święto Pracy zbudowane jest na kompletnych antypodach tego paradygmatu. Dzisiejszy świat przekonuje nas, że w pracy chodzi przede wszystkim o „wyścig szczurów". Ale przecież nie musi tak być. Równie dobrze może chodzić o wspólnotę, wzajemną pomoc i wsparcie. To kwestia tego, jaki świat chcemy budować. Polski lewicowy filozof Stanisław Brzozowski nie widział w pracy jedynie ekonomicznego środka do zarabiania na życie czy przykrej konieczności, lecz postrzegał ją również jako twórczy, heroiczny akt kształtowania rzeczywistości, człowieka i świata wokół niego. Ważnym elementem tej wizji jest jej kolektywny wymiar. Praca to wspólne stwarzanie świata i przeciwstawianie się jego żywiołom. Przyznam, że to podejście jest mi bardzo bliskie. Ze wspólnotowego podejścia do ludzkiej pracy wyrasta też jeden z najpiękniejszych „polskich wynalazków" – Niezależny Samorządny Związek Zawodowy „Solidarność". Jako jedno ze swoich haseł uczynił zdanie „Solidarność naszą bronią". Myślę, że to dobra treść, którą można by było wypełnić na nowo święto 1 Maja.

ZE WSPÓLNOTOWEGO PODEJŚCIA DO LUDZKIEJ PRACY WYRASTA JEDEN Z NAJPIĘKNIEJSZYCH „POLSKICH WYNALAZKÓW" – NIEZALEŻNY SAMORZĄDNY ZWIĄZEK ZAWODOWY „SOLIDARNOŚĆ".

MYŚLI MICHALSKI



eprasa.pl b1ccbc3081

Praca, której nie ma

To w końcu jak: chcemy pracować w wymiarze umożliwiającym godne życie rodzinne, towarzyskie oraz wypoczynek pozwalający organizmom na regenerację czy wolimy **zarzynać się** robotą aż do kryzysu zdrowotno-psychicznego?

Monika Małkowska

Jak na razie Polacy należą do najbardziej zatyranych narodów Europy. W kontekście Święta Pracy warto „pochylić się" nad tematem. Świętowanie 1 maja jako Dnia Pracy uchwalił Kongres II Międzynarodówki 14 lipca 1889 r. Wtedy też natężeniu uległy zabiegi o realizację 8-godzinnego dnia pracy. I było to próbą uregulowania wielosetletnich nadużyć.

Feudalny wyzysk

Chłopstwo pańszczyźniane było na potęgę żyłowane przez szlachtę. Dobry pan trafiał się rzadko, większość żerowała na wyzysku plebejów. Tak do XVI stulecia pańszczyzna ograniczała się do jednodniowej pracy z łanu, czyli gospodarstwa. W XVII i XVIII wieku wymiar wymaganych robót urósł do 4, nawet 6 dni tygodniowo. Im bliżej upadku Rzeczypospolitej, tym więcej wyciskano z plebejuszy. Niewolnicze „zarobienie" nie pozwalało chłopom na uprawę własnej ziemi, a jeżeli, to wysiłkiem całej rodziny. Wspomnieć należy też o innych formach przymusu, a było tego niemało, od doraźnych nieodpłatnych prac zwanych darmochami po... przymus nabywania wódki i piwa w karczmach należących do dworu. Czy można się dziwić, że wielorakie obciążenia wpłynęły na wygląd „chama"? W jednym z opisów czytamy: „Ciała mają skarlałe, zgięte ku ziemi, oczy zapadnięte, a chód powolny". Do tego twarze ogorzałe, spracowane dłonie i zgrubiałe stopy pokryte stwardniałym naskórkiem, tzw. modzelami. Określenie „chudopachołek" najtrafniej definiowało „kompleksję" biedoty. Zresztą nie tylko chłopstwa, także niezamożnej szlachty. Ale, ale. Rytm i wymiar pracy na roli regulowały sezony. Jasne, że w czasie żniw zasuwano od świtu do nocy, choć respektowano dwugodzinną przerwę obiadową. Zima przynosiła więcej luzu. Ponadto wolne od pracy były niedziele i święta, których w dawnej Polsce rocznie wypadało znacznie więcej niż obecnie, bo 40–50 dni. Do tego dochodziły wolne dni z rozmaitych okazji – ślubu, pogrzebu, chrzcin. To wszystko jednak zależało od pańskiego widzimisię, od okresu i regionu, jako że różnice dzielnicowe były ogromne.

Scheda po przodkach

Wiki podaje, że 95% naszego społeczeństwa ma korzenie chłopskie. Czyżby nasze zarobienie miało historyczne uwarunkowania? A co ze szlachtą, arystokracją, Żydami? Co z późniejszą inteligencją



Fot. Adobe Stock

eprasa.pl b1ccbc3081

wymieszaną klasowo? Co z intelektualno-artystyczną elitą (jeszcze tą prawdziwą, nie uzurpatorami)? Każda z tych grup inaczej podchodziła do pracy i inaczej zabiegała (lub wcale) o regulację godzin zajęć pozwalających utrzymać się przy życiu. Choćby samo uwłaszczanie chłopów – miało rozbieżny przebieg w trzech zaborach. Najwcześniej, acz stopniowo, dokonali tego Prusacy (1808–1850); w Galicji stało się to w 1848 r. wskutek Wiosny Ludów; w Królestwie Polskim ten przełom nastąpił w 1864 r. w reakcji na powstanie styczniowe, żeby odciągnąć chłopów od wspierania dworów, z których głównie rekrutowali się buntownicy. Wkrótce potem nastąpiła rewolucja przemysłowa. I to wcale nie poprawiło sytuacji tych, którzy uciekli ze wsi, szukając lepszego życia w miastach. U zarania kapitalizmu normą były dniówki 12–14-godzinne. Zmalała liczba dni wolnych, wzrosła



natomiast liczba godzin przepracowanych. W zaborze pruskim próbowano to ogarnąć ordynacją przemysłową. W 1852 r. zakazano zatrudniania dzieci do lat 12, a te, które nie ukończyły lat 14, mogły pracować jedynie 6 godzin dziennie. W 1891 r. wprowadzono przepisy, na mocy których zakazano pracy w niedziele, a dla kobiet ustalono maksymalny czas pracy na 11 godzin, w soboty „tylko" 10. Po odzyskaniu niepodległości w 1918 r. wprowadzono 8-godzinny dzień pracy na mocy dekretu powstałego z inicjatywy Naczelnika Państwa Józefa Piłsudskiego. Rok później wprowadzono ustawą 46-godzinny tydzień pracy. Od 1933 r. obowiązywały soboty skrócone do 6 godzin pracy. Jednak w 1946 r. wydłużono sobotnią harówkę do wymiaru, jak w pozostałe dni – powojenna odbudowa kraju wymuszała większy wysiłek rodaków.

Wolna sobota pod nadzorem

W latach 60. do nielicznych docierały wzmianki o sobotach wolnych od pracy, wywalczonych przez związki zawodowe we Włoszech i Francji. Szeptana propaganda wsączała się za żelazną kurtynę wbrew woli partii. Ale czujna PZPR przygotowała odsiecz w osobach wykwalifikowanych instruktorów spieszących pouczyć, że w kapitalizmie wyzyskiwani robotnicy słusznie walczą o jeden dodatkowy wolny dzień, podczas gdy w socjalizmie praca nobilituje ludzi; że w kapitalizmie praca jest przekleństwem, w „lepszym" systemie zaś to pasmo radości. Dopiero „światowy" Edward Gierek odważył się na milowy krok.

Sobota, 21 lipca Roku Pańskiego 1973, przeddzień Narodowego Święta Odrodzenia Polski, stała się dniem wolnym od pracy. Ludzie, ależ to było wydarzenie! Potem stopniowo wyłuskiwano soboty z roboczego roku. W 1974 r. uwolniono ich 6; rok później było ich 12; w 1979 r. wytargowano aż 14 niepracujących sobót. Teoretycznie trzeba je było „odpracować", zwiększając normy w inne dni robocze, ale w praktyce nikt tego nie przestrzegał. Za to w niepracujące soboty organizowano ludziom dodatkowe zajęcia, socideolodzy wprowadzili bowiem istotny podział między wypoczynkiem a próżniactwem. To drugie było naganne, to pierwsze przynosiło społeczeństwu pożytek. Tak więc zakłady pracy organizowały ludziom w nich zatrudnionym zajęcia świetlicowe, wycieczki krajoznawcze, prace na działkach, wędkarstwo, kursy modelarskie i innych robót ręcznych. Różnym sposobom zorganizowanych form wypoczynku ton nadawali instruktorzy kulturalno-oświatowi, powszechnie zwani kaowcami. Wtedy to, za sprawą wolnych sobót, rozmaite a zasobne zakłady produkcyjne zadbały o „ośrodki wczasów sobotnio-niedzielnych" dla swych pracowników. Według GUS sklasyfikowano je jako „zespół obiektów i urządzeń zlokalizowanych w niedużej odległości od aglomeracji miejskiej, w bezpośrednim sąsiedztwie terenów o walorach przyrodniczych korzystnych dla rekreacji [...] Umożliwia [on] obsłużenie jednocześnie znacznej liczby osób o różnych upodobaniach". Fajnie, tylko taki detal: wszystkim tym atrakcjom towarzyszyły listy obecności. Dostajesz bonusy – wiedz, komu/czemu je zawdzięczasz. I masz być lojalny wobec dobroczyńcy.

Piąteczek, piątunio

W 1981 r. Solidarność wywalczyła wolny każdy szósty dzień tygodnia, jednak w stanie wojennym nie zawsze to respektowano. Po transformacji ustrojowej, w latach 90., pięciodniowy tydzień pracy stał się standardem, co oznacza 40 godzin tygodniowo. Ale to też ma ulec zmianie. Eksperci twierdzą, że intensywny i bardziej wydajny czas pracy trwa od poniedziałku do czwartku, w piątek zaś słabnie. W tym dniu zaczyna się

eprasa.pl b1ccbc3081

„mały weekend", odkłada się zadania wymagające kreatywności, wykonując te bardziej mechaniczne, administracyjne. Fakt, w wielu firmach można zaobserwować przedweekendowe rozprężenie wyrażające się w czułym zawołaniu: „piątek, piąteczek, piątunio". Taaa... A co mają powiedzieć pracownicy handlu przeżywający piątkowo-sobotnie nawałnice? I dlaczego wielu zwolenników skracania tygodnia pracy nie miałoby nic przeciwko przywróceniu handlowych niedziel? To zresztą nie dotyczy tylko handlowców. Prawie połowa Polaków (49,8%) dorabia, co rzecz jasna wydłuża czas zawodowej (?) aktywności. Według najnowszych (z 2025 r.) danych praca „po godzinach" trwa obecnie nawet 20 godzin tygodniowo. Jeszcze kilka lat temu dotyczyło to studentów i freelancerów – teraz to coraz popularniejsze dopełnienie stałych zarobków zarówno wśród młodych (do 34 lat), jak i w grupie 50+. Co ciekawe, dorabiają nie tylko ludzie o niewysokich uposażeniach, także zarabiający powyżej 5000 zł. Polaków pracujących do 9 godzin dziennie jest statystycznie coraz mniej – zwiększa się zaś grupa orająca tygodniowo po 50–60 godzin.

Co jeszcze ciekawsze, coraz częściej ludzie zostają „po godzinach" u obecnego pracodawcy (32,5%). Firmy wolą bowiem „rozciągać" etaty, zamiast zwiększać zatrudnienie, pracownicy zaś preferują dorabianie u „sprawdzonych" szefów. Nawet jeśli dorabia się gdzie indziej, trend jest wyraźny: wymiar pracy dodatkowej to połowa czasu, jaki poświęcamy pracy etatowej/zawodowej. Skutki przepracowania zauważa już 30% Polaków, szczególnie młodych. Czasem nie ma wyboru, bo koszty życia rosną, a praca zdalna i hybrydowa nie dają stabilizacji, bo pracuje się na tzw. portfolio career [kariera portfelowa – łączenie etatu np. z freelancingiem, konsultingiem, własną firmą lub pracą sezonową – przyp. red.]. Najpierw wydaje się to super: rosną dochody, na wszystko nas stać, łatwiej planować wydatki. I nagle siada kondycja psychiczna i fizyczna. Pojawiają się spadek koncentracji, brak zaangażowania w zadania, zmęczenie i zniechęcenie. Albo popadanie w pracoholizm, który też kończy się w gabinecie terapeuty. To powody, dla których coraz więcej osób rozważa priorytety: lepszy szybki zysk czy długoterminowa efektywność.

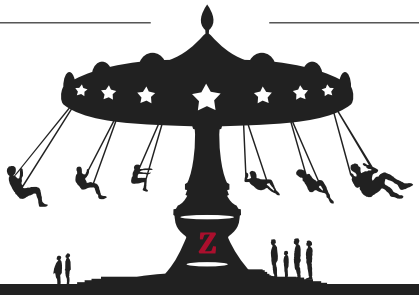
Skrócony czy wydłużony

Tymczasem chodzą słuchy, że jesteśmy coraz zamożniejsi. A skoro tak, powinniśmy mieć coraz więcej wolnego – jak zdarzyło się w lepiej i wcześniej rozwiniętych krajach. Pod koniec 2022 r. Donald Tusk zapowiadał: „Do wyborów będziemy mieli przygotowany projekt pilotażu na czterodniowy tydzień pracy". Także partia Razem postulowała wprowadzenie 35-godzinnego roboczego tygodnia. Tylko... były i są to mrzonki z gatunku wishful thinking. Rok temu, w czerwcu 2025 r., Ministerstwo Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej oficjalnie ogłosiło eksperymentalny program zakładający skrócenie tyrawki bez obniżenia wynagrodzenia. Nabór wniosków ruszył w połowie sierpnia ub.r. Wystartowało w nim 2 tys. przedsiębiorstw i instytucji; zakwalifikowało się raptem 90 z nich, co przekłada się na ponad 5 tys. pracowników. Każdy podmiot otrzymał do 1 mln dofinansowania. Testowanie 4-dniowego tygodnia pracy już trwa – zaczęło się 1 stycznia, zakończy 31 grudnia br. Do 15 maja 2027 roku uczestnicy programu mają przedstawić ministerstwu sprawozdanie i wyniki kwartalnych ankiet. Łączny budżet na tę przymiarkę wynosi 10 mln zł. Co da ten sondaż? Chyba niewiele, jako że dotyczy wyłącznie sektora publicznego, m.in. Lasów Państwowych, spółek wodociągowych, spółdzielni mieszkaniowych, urzędów gminnych czy miejskich. Najwyższe dofinansowania – co brzmi jak żart – przypadło w udziale firmie konsultingowej, warszawskiemu domowi kultury, Urzędowi Gminy Żórawia i... Okręgowej Izbie Lekarskiej w Warszawie. Oczywiście, przycięcie tygodnia pracy nie jest możliwe dla wszystkich branż. A prywatni przedsiębiorcy nawet nie chcą o tym słyszeć. Cóż z tego, że ma się to przełożyć na niższy poziom stresu i wypalenia zawodowego, mniej problemów ze snem i zmniejszenie negatywnych emocji, co z kolei powinno zaowocować wyższą produktywnością. Ważniejsze jest łączące się z nową formą ryzyko. Może się to przełożyć na spadek produkcji, a co za tym idzie, zmniejszy zarobki. Żeby nie tamować wydajności i zachować konkurencyjność, firmy musiałyby zatrudnić więcej pracowników lub wymagać od zatrudnionych już osób zwiększenia wydajności. I wyjdzie na to samo, czyli podkręcenie stresu, bo trzeba się będzie cały czas spinać, żeby nadążyć. A może szef wymusi nadgodziny? Przytnie zarobki, wyeliminuje premie? Obetnie pełne etaty? Wśród zainteresowanych nie widać entuzjazmu.

PRAWIE POŁOWA POLAKÓW (49,8%) DORABIA, CO RZECZ JASNA WYDŁUŻA CZAS ZAWODOWEJ (?) AKTYWNOŚCI.

eprasa.pl b1ccbc3081

KARUZELA BLOGERAMI



GRZEGORZ „GRZECHG” GOŁĘBIEWSKI

PiS W POTRZASKU

Wbrew medialnej narracji oraz głosom płynącym z wewnątrz Prawa i Sprawiedliwości to nie inicjatywa Mateusza Morawieckiego jest największym zmartwieniem PiS-u przed nadchodzącymi wyborami parlamentarnymi, ale obecny stan największej partii opozycyjnej – zasadniczo jej ogólny bezruch. Nie zmieniają tego istotnie ani aktywność Przemysława Czarnka, który oczywiście słusznie podróżuje po Polsce z przekazem dla wyborców prawicy, ani różnego rodzaju zapowiedzi programowej ofensywy. Polityczne narracje od kilku miesięcy narzuca opozycji partia Donalda Tuska, bezwzględnie, na rympał, nie przejmując się ani przez moment, czy jest w nich choćby źdźbło prawdy. To dla Koalicji Obywatelskiej nie ma – jak wiadomo – większego znaczenia, bo każdy jej przekaz dostaje turbodoładowanie do usłużnych jej mediów. PiS broni się więc przed absurdalnymi zarzutami dotyczącymi kryptowalut, prorosyjskości, a nawet zapaści w służbie zdrowia.

Machina propagandowa działa na tyle sprawnie i bezwzględnie, że odbiło się to już wyraźnie na słupkach poparcia dla Prawa i Sprawiedliwości. Być może ruch Mateusza Morawieckiego nie sprzyja przedwyborczej konsolidacji partii, ale z drugiej strony widać dziś wyraźnie, że potrzebne jest swoiste odrodzenie PiS-u: z nowym programem, z nowymi ideami, które doceni nie tylko twardy dwudziestoprocentowy elektorat tej partii, ale także elektorat miękki i niezdecydowany. Można się zżymać na taki polityczny defetyzm, ale wydaje się, że bez nowego otwarcia partii Jarosława Kaczyńskiego grozi wyborcza klęska, i to w sytuacji, gdy skutki fatalnej polityki Tuska Polacy odczuwają już na co dzień. Z jakichś nie do końca racjonalnych powodów część wyborców PiS-u lokuje swoje nadzieje w Konfederacji, a nawet w partii Grzegorza Brauna. Jeśli jednak panuje owo rozczarowanie, to trzeba je jasno zdiagnozować, a nie jedynie radykalizować własny przekaz, żeby tych wyborców odzyskać. Tym bardziej że Konfederacja w żadnym razie nie jest partią propaństwową, ponieważ w momencie ewidentnego zagrożenia dla istnienia państwa wcale nie wyklucza rządów z Tuskiem, nawet się od niego wyraźnie nie odcina. Główny atak idzie w stronę PiS w złudnej nadziei, że jest już tak możne, że być może samodzielnie sięgnie po władzę. Jak na razie działania Konfederacji znakomicie służą rządom Tuska, a po trosze i Sławomirowi Mentzenowi, który naiwnie sądzi, że będzie coś rozgrywał w polskiej polityce po 2027 roku. Ma jednak u swojego boku młody prawicowy elektorat, którego nie potrafi pozyskać Prawo i Sprawiedliwość.

Nie oznacza to jednak wcale, że PiS nie może sięgnąć po władzę bez tego – jak do tej pory – straconego elektoratu. Głównym problemem tej politycznej wiosny jest nieustające tłumaczenie się całej armii polityków PiS po telewizyjnych studiach z wrzutek Donalda Tuska. Przychodzą tam, niestety, bez własnej agendy, a tak zwane przekazy dnia nic tu nie pomogą. PiS utknęło w bańce, którą samo sobie wyhodowało, nie robiąc ani rachunku sumienia, ani nawet nie punktując degrengolady obecnej władzy swoimi realnymi i bardzo wymiernymi sukcesami gospodarczymi. Koalicja Obywatelska przykleja do PiS-u, co chce, od winy za wysoką inflację po dramat w ochronie zdrowia.

To już ostatni moment na to, by w prosty sposób opowiedzieć Polakom, jak konkretnie ten demontaż państwa wygląda, jak go PiS zatrzyma po wyborach i jak odbuduje państwo. Nie inaczej właśnie, tylko jak odbuduje rozpadające się państwo. Może to jest już ten moment, gdy Prawo i Sprawiedliwość powinno podjąć próbę zejścia z Olimpu i zacząć budować znacznie szersze porozumienie polityczne wśród polityków oddanych Polsce i dostrzegających śmiertelne zagrożenia dla państwa. Nie jest za późno, ale zostały już tylko „godziny” na taką odważną, fundamentalną decyzję. Wtedy Mateusz Morawiecki i Przemysław Czarnek z pewnością nadal będą grali w tej samej drużynie. Wtedy też może nastąpić osobiste ukoronowanie wielkiej politycznej drogi Jarosława Kaczyńskiego. Trzeba wejść po prostu dwa piętra wyżej, żeby zobaczyć, że tak dłużej nie da się walczyć o Polskę. Trzeba po prostu wyjść z potrzasku.

eprasa.pl b1ccbc3081

Z ARCHIWUM Tomasza Gutrego



Basia: – Panie Tomku, Solidarność organizuje wielką demonstrację 20 maja w Warszawie. Na pewno Pan będzie?

Tomek: – Oczywiście, że tak. Jak zwykle. Pamiętam wielkie protesty z 2013 roku. Wszystkie związki razem wystąpiły przeciwko antypracowniczej polityce Donalda Tuska. Ludzie trzymali na przykład transparent z hasłem: „Tusk to samo zło”.

– Publikujemy zdjęcie z tamtych wydarzeń. Doszukał się Pan reprezentacji co najmniej kilkudziesięciu zakładów pracy. A to tylko na podstawie zdjęć.

– Oczywiście było ich o wiele więcej. Przybyły tłumy ludzi z całej Polski. Tłumy niezadowolonych ludzi.

Rozmawiała Barbara Michałowska

eprasa.pl b1ccbc3081

45-LECIE „TYGODNIKA SOLIDARNOŚĆ”

„TS” doceniony za walkę o wolność słowa

W Domu Dziennikarza przy ul. Foksal w Warszawie 29 marca uczczono dorobek jednego z najważniejszych tytułów w historii polskiej prasy. Podczas ogłoszenia laureatów 32. edycji Konkursu o Nagrody Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich jedną z honorowych Nagród Specjalnych otrzymał „Tygodnik Solidarność”. Wyróżnienie to przyznane z okazji 45-lecia istnienia pisma stało się nie tylko gestem uznania, ale również przypomnieniem o wyjątkowej roli, jaką „Tysol” odegrał w dziejach polskich mediów i życia publicznego.

Ludwik Pęzioł

NAGRODA ZOSTAŁA PRZYZNANA „W UZNANIU zasług w walce o wolność słowa w Polsce”. Trudno o bardziej trafne podsumowanie historii „Tygodnika”, który od pierwszego numeru, wydanego 3 kwietnia 1981 roku w nakładzie pół miliona egzemplarzy, stał się fenomenem nie tylko na skalę krajową, ale i całego bloku wschodniego.

„Tygodnik Solidarność” był doświadczeniem pokoleniowym. Kolejki przed kioskami, egzemplarze czytane przez wiele osób, pożyczane z rąk do rąk, to obraz, który do dziś pozostaje żywy w pamięci świadków epoki. Jak wspominał w laudacji Hubert Bekrycht, „Tygodnik” „tchnął w nas, nawet młodych ludzi, coś w rodzaju niezbywalnego patriotyzmu”. W rzeczywistości PRL pismo stało się symbolem przełamywania monopolu informacyjnego władzy, a także dowodem na to, że nawet w warunkach cenzury możliwa jest skuteczna walka o przestrzeń wolnego słowa.



Fot. Michał Sujeta / SDP

Redaktor naczelny „Tygodnika Solidarność” Rafał Woś odbiera nagrodę SDP

Fenomen „Tysola” polegał również na jego podwójnej naturze: był zarazem organem największego ruchu społecznego w powojennej Europie i niezależnym forum myśli. To właśnie na jego łamach kształtowało się środowisko publicystów, które w kolejnych latach odegrało kluczową rolę w życiu politycznym i intelektualnym kraju. Wystarczy przypomnieć, że wśród redaktorów naczelnych pisma znaleźli się m.in. Tadeusz Mazowiecki czy Jarosław Kaczyński – postaci, które później współtworzyły najważniejsze rozdziały III Rzeczypospolitej.

Odbierający nagrodę redaktor naczelny Rafał Woś podkreślał, że „«Tygodnik Solidarność» to jest kawał polskiej historii”. Historii, która nie skończyła się na symbolicznym roku 1981. Po przerwaniu działalności w stanie wojennym, gdy pismo stało się jednym z pierwszych celów komunistycznych władz, „Tysol” powrócił na rynek w wolnej Polsce, mierząc się z nowymi wyzwaniami: wolnym rynkiem, wewnętrznymi sporami środowiska solidarnościowego i zmieniającą się rzeczywistością medialną.

W latach 90. „Tygodnik” pozostawał jednym z najważniejszych głosów obozu posolidarnościowego, a dziś – jak zauważył Rafał Woś – „jest jednym z nielicznych w Europie mediów tak konsekwentnie stojących na straży praw pracowniczych”. To właśnie połączenie publicystyki politycznej i kulturalnej z troską o sprawy społeczne i pracownicze wyróżnia „Tygodnik Solidarność” na tle innych tytułów. Współcześnie „Tysol” to już nie tylko papierowe wydanie, ale także dynamicznie rozwijający się portal internetowy. Mimo transformacji technologicznych zachował jednak swoją tożsamość.

Jubileusz 45-lecia „Tygodnika Solidarność” to okazja do refleksji nad znaczeniem słowa drukowanego w czasach, gdy było ono dobrem deficytowym, i nad jego rolą dziś, w epoce nadmiaru informacji. Historia „Tysola” pokazuje, że prawdziwa siła mediów tkwi w wiarygodności, odwadze i zdolności do kształtowania wspólnoty.

eprasa.pl b1ccbc3081

Krótki przewodnik
PO GATUNKACH LIBKÓW
w Polsce

Spośród 128 odmian liberalizmu każda jest tą **jedyną, prawdziwą i objawioną**, a wszystkie pozostałe to herezje, sekty i nieporozumienia. Na samą sugestię, że ktoś inny mógłby szczerze kochać wolność, przedstawiciel każdego z gatunków reaguje świętym oburzeniem i zarzuca ignorancję z miną, która ma zamknąć dyskusję na wieki.

Ludwik Pęziot

To przekonanie prowadzi do licznych, skądinąd bardzo zabawnych, „kłótni w rodzinie". Dla postronnego obserwatora to spektakl momentami trudny do ogarnięcia. Żeby jednak nie czuć się całkiem zagubionym, wystarczy poznać kilka podstawowych typów „libków", które zdominowały współczesną Polskę. Resztę można spokojnie zostawić koneserom.

Unijczyk

Patronem unijczyka jest profetyczny wizjoner zjednoczonej Europy Bronisław Geremek, największym świętem zaś... 1 maja, czyli dzień dołączenia Polski do jej „europejskiej rodziny". Data to o tyle wygodna, że wielu unijczyków, którzy w krótkim czasie przeszli drogę od przyjaciół Związku Radzieckiego do przyjaciół Zachodu, nie musiało nawet zmieniać przyzwyczajeń – hasło „Niech się święci 1 maja" wciąż pasuje jak ulał.



Proj. K. Karnkowski

Unijczyk heroicznie nosi zmazę, jaką jest bycie Polakiem, choć nie traci nadziei na jej ostateczne zmycie poprzez likwidację państwa pol... EKHM, EKHM!... pogłębioną integrację europejską. Zanim jednak nastąpi to symboliczne oczyszczenie, próbuje łagodzić codzienny dyskomfort polskości różnymi metodami: nadając dzieciom odpowiednio zachodnie imiona, skrupulatnie respektując zaimki i wplatając w swoje wywody myśli zaczerpnięte z Marcela Prousta, Johanna Wolfganga Goethego czy Pawła Kowala.

Oczywiście wspólna Europa nie może mieć byle jakiego ustroju. Musi nim być demokracja liberalna, czyli szczyt osiągnięć ludzkiej myśli i jedyny system zasługujący na miano demokracji. Bo wszystkie pozostałe to właściwie różne odmiany autokracji i faszyzmu. Demokrację liberalną trzeba więc pielęgnować jak delikatny ogród, bo wystarczy chwila nieuwagi, by pogrążony w swoich narodowych rojeniach lud dał się podburzyć ludziom o złych intencjach, wyniósł do władzy

eprasa.pl b1ccbc3081

krwawych dyktatorów, a kontynent znów pogrążył się w bratobójczych wojnach.

A że czasami liberałowie muszą od praworządności odejść? Cóż, robią to wyłącznie w jej obronie. W końcu ktoś musi pilnować zasad, nawet jeśli od czasu do czasu trzeba je dla dobra sprawy na chwilę zawiesić.

Racjonalista

Jego patronem jest najwybitniejszy oświeceniowy pogromca zabobonu, czyli Wolter, a świętem – rocznica zdobycia Bastylii. Podobnie jak unijczyk czci Europę, ale wie, że prawdziwa Europa narodziła się dopiero w Oświeceniu; wcześniej przez skostnienie tradycji przebijały się co najwyżej nieśmiałe pierwiosnki rozumu i humanizmu. Pod jedną pachą nosi „Traktat o tolerancji", pod drugą – miniaturkę gilotyny, bo przecież tolerancja sama się nie zrobi.

W liberalizmie najbardziej kocha postępowość i kult rozumu. „Kult" w sensie ścisłym, bo racjonalista modli się do nauki, a dawne chrześcijańskie (tfu!) sakramenty zastępuje ich naukowymi odpowiednikami. Najbardziej na świecie nienawidzi religii, która (jak powszechnie wiadomo) jest korzeniem wszelkiego zła. Zwłaszcza chrześcijaństwo. A już w szczególności katolicyzm. Racjonalista przejrzał też wszystkie knowania Kościoła. Wie, że większość kleru to geje, a w watykańskich archiwach leżą dowody na wszystko: od współpracy z nazistami, przez lekarstwo na raka, aż po wehikuł czasu. Żeby jednak prawda mogła zatriumfować, postęp zwyciężyć, a ludzkość (zgodnie z przepowiednią markiza Nicolasa de Condorceta) osiągnąć nieśmiertelność, trzeba raz na zawsze rozświetlić kruchciane mroki światłem nowych encyklopedystów.

Wolnościowiec

Iluż on ma patronów! Wyliczyć wszystkich od Miltona Friedmana, przez Ludwiga von Misesa i Friedricha Augusta Hayeka, po Murraya Rothbarda nie sposób... każdy wybiera swojego proroka. Trzeba jednak pamiętać, że dla rothbardianisty Hayek to już socjalista, a dla hayekisty Friedman podejrzanie pachnie etatyzmem. Wspólne świętowanie jest więc trudne, ale w gruncie rzeczy zbędne, bo przecież każda forma kolektywnych obchodów to pierwszy krok do łagrów. Jeśli już jednak świętować, to indywidualnie, na przykład w niedzielę handlową, kiedy wolnościowiec udaje się do galerii, robi selfie i dzieli się nim ze światem jako aktem wolnorynkowego nieposłuszeństwa.

> UNIJCZYK HEROICZNIE NOSI ZMAZĘ, JAKĄ JEST BYCIE POLAKIEM, CHOĆ NIE TRACI NADZIEI NA JEJ OSTATECZNE ZMYCIE.

Wolnościowiec, jak każdy libek, wierzy w swawolę ponad wszystko, ale jej zagrożenia upatruje gdzie indziej: największym niebezpieczeństwem nie są dla niego żadne brunatne widma, tylko urzędnik z formularzem i socjalista z projektem ustawy. To właśnie gryzipiórki wprowadzają regulacje, które gwałcą jego świętą wolność. Gdyby nie oni, świat byłby rajem na ziemi (no, może nie dla wszystkich, ale przecież każdy jest kowalem własnego losu, a jedni po prostu gorzej kują). Wolnościowiec bywa też impulsywny, zwłaszcza gdy każe mu się założyć maseczkę albo odkręcić butelkę z przytwierdzoną zakrętką. To już jego zdaniem zamach na fundamenty cywilizacji. W takich chwilach jego umiłowanie wolności nabiera naprawdę wybuchowego charakteru.

Neofita

Skoro już mowa o agresji, to naprawdę bojową formą liberała jest libek-neofita. Za jego patrona męskiego uznać można Romana Giertycha, a żeńskiego – Elizę Michalik; świętem zaś jest dzień liberalnego oświecenia neofity, kiedy to nagle zrozumiał, jak bardzo błądził i że jednak ex occidente lux. Jeszcze wczoraj prawak (lewak rzadziej), dziś tropiciel zamordystów, faszystów i autokratów pod każdym kamieniem, w każdej lodówce i za każdą firanką.

> NAPRAWDĘ BOJOWĄ FORMĄ LIBERAŁA JEST LIBEK-NEOFITA.

Przyczyny tej wolty bywają różne: czasem zdrada przez dawnych kompanów, czasem wyjazd z prowincji i nagłe oślepienie blaskiem wielkomiejskiej cywilizacji, do której próbuje się w trybie przyspieszonym dopasować. Liberałowie są w stanie przyjąć go w swoje szeregi pod warunkiem ekspiacji; trzeba też zdradzić dawne sekrety, opowiedzieć wszystko

eprasa.pl b1ccbc3081

o sekretnych knowaniach „faszystów” i najlepiej jeszcze stanąć w pierwszym szeregu jako człowiek od zadań specjalnych, tj. brudnej roboty.

I choć neofita oficjalnie zamienił umiłowanie zamordyzmu na umiłowanie wolności, stare nawyki nie znikają. Radykalizm zostaje. Porządek musi być, tyle że już liberalny. Dyscyplina też, oczywiście w imię walki z wrogami wolności. Każdy jest podejrzany, każdego trzeba prześwietlić. Wszędzie wrogowie, spiski, układy, siły czyhające na demokrację... Zaraz, gdzie się podziała moja foliowa czapeczka?

NAJWYŻSZY STOPIEŃ LIBERALNEGO WTAJEMNICZENIA OSIĄGNĄŁ KAPITALUCH.

Wyznawca świętego spokoju

Patronów znalazłoby się kilku, ale wszyscy są tak ujmująco sympatyczni, że aż szkoda z nich publicznie kpić. Źródło tej sympatii jest proste: chcą rozmawiać ze wszystkimi; słuchają uważnie i naprawdę są ciekawi cudzych poglądów. Rzecz dziś rzadko spotykana.

Pod tym wszystkim kryje się jednak pewien fortel. Ich misją jest rozładowywanie radykalizmu, który uważają za największe zagrożenie dla Polski. Poglądy lekko odbiegające od liberalizmu są jeszcze tolerowane jako nieszkodliwe dziwactwo, ale każda ostrzejsza wypowiedź to już zapowiedź barykad, płonących opon i krwi płynącej rynsztokami. Trzeba więc dialogować, „pięknie się różnić” i nie podnosić głosu, bo od tego zaczynają się wszystkie tragedie świata.

Pluralizm i różnorodność są dla nich wartościami najwyższymi, pod warunkiem, że odbywają się w bezpiecznych granicach liberalnego konsensusu. A celem jest oczywiście święty spokój. Bez barykad i napięć przy wigilijnym stole. Bo przecież wszyscy są tak naprawdę dobrzy, dobrze chcą, i tylko czasami nie potrafimy się dogadać.

Kapitaluch

Patron ruchomy, bo przecież lista najbogatszych lubi się tasować, podobnie jak święto, które przypada zawsze wtedy, gdy uda się ubić naprawdę dobry interes. Kapitaluch osiągnął najwyższy stopień liberalnego wtajemniczenia. Wie, że liberalizm jest przede wszystkim po to, żeby można się było nachapać kosztem innych, a cała reszta to slogany dla naiwnych. Święty spokój, tolerancja, wspólny rynek, multi-kulti, brak religijnej ascezy... wszystko to ma swoje miejsce, o ile pomaga w wyciskaniu z rzeczywistości odpowiedniej marży.

Kapitaluch patrzy na świat bez złudzeń. Żyjemy w dżungli, a kto sobie nie radzi, to jego problem. Jednocześnie doskonale wie, że nie wypada przyznawać się do bycia samolubnym dupkiem. Dlatego od czasu do czasu rzuci coś na ekologię, coś na dzieci, coś na prawa mniejszości, coś na schronisko dla zwierząt, tak aby jego wizerunek świecił przykładem. Jeśli zaś zmieni się klimat i trzeba będzie iść ręka w rękę z faszystami, to i im się rzuci parę groszy.

Nie będzie jednak dzielił się tymi wszystkimi tajemnicami z innymi. W końcu jego grono jest elitarne, liczba miejsc ściśle ograniczona, a konkurent na jego pozycję czai się tuż za pierwszym rogiem. S



Z głębokim smutkiem
przyjąłem wiadomość o śmierci

Kazimierza Grajcarka

przewodniczącego Rady Krajowego Sekretariatu
Górnictwa i Energetyki NSZZ „Solidarność”
w latach 1998–2018,
członka Komisji Krajowej NSZZ „S”,
niezłomnego obrońcy godności ludzi pracy.

Składam szczere wyrazy współczucia
Rodzinie, bliskim i przyjaciołom Zmarłego.

Piotr Duda
przewodniczący Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność”

eprasa.pl b1ccbc3081

SPONSOROWANY

Partner podcastu

INSTYTUT PAMIĘCI NARODOWEJ

PAMIĘĆ NIE NA SPRZEDAŻ

Ocal historię z Archiwum Pełnym Pamięci!

Instytut Pamięci Narodowej zaprasza na wyjątkową wystawę „Pamięć nie na sprzedaż". Ekspozycja przygotowana przez Archiwum IPN to nie tylko lekcja historii, ale przede wszystkim manifest przeciwko nielegalnemu obrotowi dziedzictwem narodowym.



Fot. materiały prasowe



Fot. materiały prasowe

Wystawa stanowi element kampanii edukacyjnej, która uświadamia, że dokumenty historyczne i artefakty o szczególnym znaczeniu dla Polaków nie powinny być przedmiotem handlu. To wspólne dobro, które wymaga profesjonalnej ochrony dla przyszłych pokoleń. Na ekspozycji zobaczymy unikatowe materiały dokumentujące kluczowe doświadczenia Polaków z okresu II wojny światowej: od kampanii polskiej 1939 roku, przez zbrodnię katyńską i dramat obu okupacji, aż po losy żołnierzy Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie i życie na emigracji.

Skarby z domowych szuflad

Prezentowane obiekty trafiły do zasobu Instytutu dzięki projektowi Archiwum Pełne Pamięci. Ta działająca od 2017 roku inicjatywa pozwoliła zabezpieczyć już ponad 3 tysiące prywatnych kolekcji. Listy, fotografie, pamiętniki i nagrania, które przez dekady spoczywały w domowych skrytkach w kraju i za granicą, dziś znajdują się pod opieką profesjonalistów.

Przekazane materiały odzyskują blask – są poddawane konserwacji, a następnie prezentowane publicznie podczas konferencji, w publikacjach książkowych oraz na wystawach. Dzięki digitalizacji losy często bezimiennych bohaterów są dostępne dla każdego na stronie www.archiwum-pamieci.pl oraz w popularnym cyklu podcastów.

Zaproszenie na „Przystanek Historia"

Najciekawsze zbiory przekazane przez darczyńców będzie można obejrzeć w Warszawie.

Termin: 8 kwietnia – 6 maja br.
Miejsce: Centrum Edukacyjne IPN „Przystanek Historia" im. Janusza Kurtyki, ul. Marszałkowska 21/25.
Godziny otwarcia: poniedziałek–piątek, 9.00–17.00.
Wstęp na wystawę jest wolny.
To obowiązkowy punkt na mapie dla każdego, komu bliska jest ochrona polskiego dziedzictwa narodowego.
Posłuchaj podcastu:

eprasa.pl b1ccbc3081

Fałszywy walc znad Dunaju

W węgierskie, jak wcześniej rumuńskie, wybory mocno zaangażowali się i unijna biurokracja, i polska prawica, i Amerykanie. Unia i liberałowie z poszczególnych państw mocno wspierali Pétera Magyara, polityka, który jako **pierwszy od lat** miał szansę wygrać z Viktorem Orbánem. Orbána wspierały partie nie mieszczące się w europejskiej poprawności politycznej, w tym polska prawica. Jawnie poparła go też administracja USA. Gdy już poznaliśmy wyniki, narracje dość szybko się zmieniły, a obie strony polskiego sporu zaczęły zastanawiać się, czy i jakie wnioski powinny wyciągnąć z tego, co stało się na Węgrzech.

Krzysztof Karnkowski



Wielkie Zgromadzenie Patriotów – Viktora Orbána i jego partię Fidesz wsparli Krzysztof Bosak, Marine Le Pen z Francji, Matteo Salvini z Włoch oraz premier Czech Andrej Babiš, Budapeszt, 23 marca 2026 r.

Fot. Marton Monus / Reuters / Forum

eprasa.pl b1ccbc3081

„Premier Węgier Viktor Orbán musi wygrać wybory. Nie może ich wygrać pupilek salonów brukselskich, którego zadaniem jest gra w orkiestrze unijnych federalistów. Później musimy odsunąć reżim od władzy w Polsce. To nasze zadanie" – pisał w marcu europoseł PiS Michał Wójcik. „Niektórzy chcieli zrobić z Warszawy Budapeszt. Dziś Budapeszt chce być jak Warszawa" – miesiąc wcześniej swoje spotkanie z Péterem Magyarem komentował premier Donald Tusk. Niedługo przed wyborami w Budapeszcie pojawił się Karol Nawrocki, stolicę Węgier w trakcie kampanii odwiedzili również Mateusz Morawiecki i Krzysztof Bosak. Ten ostatni był na zgromadzeniu grupy Patrioci dla Europy w Budapeszcie. Na tej samej imprezie swoje wsparcie dla szefa Fideszu wyrazili Marine Le Pen z Francji, Matteo Salvini z Włoch oraz premier Czech Andrej Babiš. Proxy war dla polskiej, europejskiej i światowej polityki rozegrać się miała tym razem nad Dunajem. Jej znaczenie dla polskiej polityki było trochę inne od wcześniejszych zagranicznych starć, które były w Warszawie traktowane jako przedłużenie emocji polityki krajowej. W 2020 roku Platforma Obywatelska świętowała wygraną Joe Bidena, rekompensując sobie porażki w kolejnych wyborach w Polsce. Cztery lata później to Prawo i Sprawiedliwość świętowało z powodu wygranej Donalda Trumpa, by osłodzić sobie gorycz porażki, ale też by odnowić ducha dzięki wiadomości o przerwaniu choć na chwilę triumfalnego pochodu liberalizmu przez świat. Czasem to przenoszenie emocji w świat przybierało formy zupełnie komiczne, jak wtedy, gdy w Brazylii lewicowy Luiz Inácio Lula da Silva wygrał z prawicowym Jairem Bolsonaro, a polscy komentatorzy, w zależności od potrzeb i sympatii, „brazylijskiego Kaczyńskiego" potrafili zobaczyć i w jednym, i w drugim.

Warszawa w Budapeszcie

W kwietniu okazało się, że kandydat popierany przez Tuska wygrał, a polski premier do swojego protegowanego zadzwonił zaraz po ogłoszeniu wyników. „Węgry, Polska, Europa. Znowu razem! Wspaniałe zwycięstwo, przyjaciele!" – komentował Tusk na gorąco. Tym razem to prawica swoją narrację z dnia na dzień zmieniła niemal orwellowsko. Niemal, ponieważ już wcześniej część związanych z nią komentatorów studziło zapał kolegów i zwracało uwagę na to, że przy akompaniamencie miłych naszym uszom tożsamościowych i konserwatywnych haseł Viktor Orbán zbudował korupcyjne państwo, w którym przedstawiciele wszystkich światowych i lokalnych potęg – i Rosjanie, i Chińczycy, i Niemcy – robili właściwie, co chcieli. Amerykanie uznali, że Węgry mogą stać się ich zasobem strategicznym i próbowały przelicytować konkurencję. Czy zdążyli, dowiemy się, gdy będzie już jasne, czy nowy rząd zamierza korzystać z zawartych przez poprzedników na ostatniej prostej bardzo korzystnych umów z USA. Węgry, kraj coraz głębiej zapadający się we własne lata 90., udający imperium, którym od stu lat nie jest, blokujący szanse rozwoju młodym i opanowany przez zblatowanych ze sobą polityków i oligarchów, uległy złudzeniu, że mogą pozostać sobą, a zarazem zrzucić z siebie tę korupcyjną narośl. Podczas gdy Europa widziała więc w idącym po władzę Magyarze nowego Tuska (przed czym on sam, dodajmy, w ogóle się nie wzdragał), wielu Węgrów dostrzegało w nim młodszego Orbána. Dawnego polityka Fideszu, który da im to, co poprzednik obiecywał i przez lata faktycznie dawał, lecz już bez oligarchicznego, korupcyjnego narzutu. Dlatego też nagle podjęta przez niektóre polskie media narracja o „upadku węgierskiego Tuska", którym był dla nich już nie Magyar, a Orbán, choć dość karkołomna w swej rozpaczliwości, nie jest oderwana od rzeczywistości. Orbánowi zresztą i polska prawica zarzucić może sporo, od bliskich związków z Rosją do dawnego głosowania za Tuskiem, gdy liczyliśmy na wsparcie Jacka Saryusza-Wolskiego.

> NIEDŁUGO PRZED WYBORAMI W BUDAPESZCIE POJAWIŁ SIĘ KAROL NAWROCKI, STOLICĘ WĘGIER W TRAKCIE KAMPANII ODWIEDZILI RÓWNIEŻ MATEUSZ MORAWIECKI I KRZYSZTOF BOSAK.

Nietrafiona diagnoza

13 kwietnia rano, więc chyba jeszcze wciąż w powyborczych emocjach, Paweł Jabłoński z Prawa i Sprawiedliwości pisał na swoim Facebooku, że „tak jak ze zwycięstwa Trumpa

eprasa.pl b1ccbc3081

1,5 roku temu, tak z wczorajszej klęski Orbána polska prawica musi wyciągnąć wnioski. […] Jeśli chcemy odsunąć od władzy fatalny, szkodliwy dla Polski rząd Tuska, musimy uczyć się na błędach. W tym wypadku na szczęście jeszcze na błędach cudzych – ale zostało nam tylko 1,5 roku, żeby nie powtórzyć ich u nas". O tym, że „węgierska lekcja powinna zostać przeanalizowana przez prawicę", pisał również, choć z pozycji daleko bardziej krytycznych wobec Orbána, Sławomir Cenckiewicz, który po wyborach zwracał uwagę na spore przecenianie w Polsce pozytywnego wpływu Orbána na europejską politykę. „Był sojusznikiem Polski jedynie w rozgrywce z kosmopolitami i centralistami w UE oraz w kwestii migracji. To było ważne, ale za mało. Poza tym jedynie pogłębiał sprzeczności – inna percepcja zagrożeń rosyjskich, różnice w postrzeganiu Sojuszu Północnoatlantyckiego (o roli Węgrów we wspólnocie wywiadu powstaną kiedyś studia), zupełnie niezgodna z naszymi interesami polityka energetyczna (ostatnie wyczyny i wyprawa Mola na rynek serbski w konsultacji z Rosją), pogrzebanie idei Trójmorza…!" – zauważał szef BBN. W jego optyce analiza wyniku wyborów miałaby więc obejmować również zrewidowanie sojuszu z przegranymi. To stanowisko bardziej realistyczne. Wracając jednak do wpisu Pawła Jabłońskiego i wielu innych utrzymanych w podobnym tonie wypowiedzi, warto postawić tezę całkowicie odwrotną – to nie PiS, czy szerzej prawica w Polsce, powinno wyciągnąć wnioski z przegranej Viktora Orbána na Węgrzech w 2026 roku. Jeśli już, to lider Fideszu nie wyciągnął wniosków z wyniku wyborów w Polsce jesienią 2023 roku.

Sytuacja PiS za półtora roku, gdy najprawdopodobniej iść będziemy na kolejne wybory, nie będzie przecież taka sama, jak sytuacja Fideszu, nie będzie nawet odwrotna, będzie zupełnie nieprzystająca. Dlaczego? To dość oczywiste. Fidesz stracił władzę po 16 latach rządzenia, w warunkach gospodarczej stagnacji i w dużym stopniu uzasadnionego zmęczenia jego rządami. Stało się to dwa i pół roku po tym, gdy władzę w Polsce PiS oddał, zostawiając kraj w dużo lepszym stanie, zdobywając najwięcej głosów ze wszystkich partii. Za półtora roku PiS będzie walczyć nie o utrzymanie, a odzyskanie władzy w warunkach, w których zderzą się ze sobą dwie emocje: niezadowolenie z rządów ekipy Tuska, która już dziś niemal zrujnowała wiele dziedzin życia, zadłużając państwo na niewyobrażalną skalę, i wciąż świeża pamięć o rządach PiS, dla wielu niewybieralnego z powodu prawdziwych, fałszywych lub naciąganych zarzutów. Koalicja Obywatelska też nie ma podstaw, by porównywać się z partią Tisza Pétera Magyara. Partia Magyara poszła do wyborów jako jedyna (nie licząc nacjonalistów) partia opozycyjna, niemająca żadnej konkurencji w walce o głosy niezadowolonych z 16 lat rządów Fideszu mieszkańców Węgier – czy to zapatrzonych w Europę liberałów, czy rozczarowanych blokującą ich kariery korupcją młodych, czy niezadowolonych ze zbytniego zbliżenia z Rosją antykomunistów, dla których żywy pozostaje etos 1956 roku. Do tej ostatniej emocji odwoływał się zresztą sam Magyar, podczas gdy Orbán straszył młodzież europejską branką do armii broniącej Ukrainy przed Putinem. Po wyborach zresztą Péter Magyar gładko wszedł w buty poprzednika w tej akurat sprawie, co na razie nie wzbudziło zbyt dużego zainteresowania naszych liberałów. Podobnie jak jego dość zaskakująca deklaracja, że Viktor Orbán mógłby w przyszłości… zastąpić Ursulę von der Leyen, choć nie jest jasne, czy to deklaracja poparcia, czy tylko konstatacja możliwości zmiany układu sił w Parlamencie Europejskim.

TO NIE PiS POWINNO WYCIĄGNĄĆ WNIOSKI Z PRZEGRANEJ ORBÁNA. TO LIDER FIDESZU NIE WYCIĄGNĄŁ WNIOSKÓW Z WYNIKU WYBORÓW W POLSCE.

Wróćmy do strategii dla rządzących Polską. Owszem, Tusk i jego twardzi zwolennicy mogą oczywiście rozważać kolejny raz koncepcję jednej listy, która faktycznie może mieć w naszej ordynacji szanse w grze z rozdrobnioną prawicą. Po pierwsze jednak jest prawdopodobne, że – jak to już bywało wcześniej – ktoś (może Razem, może PSL, może Polska 2050) się z tego rygoru jednomyślności wyłamie i zgarnie za to premię, grzebiąc marzenia o utrzymaniu władzy. Po drugie i ważniejsze – koalicji dowodzonej przez Tuska nie uda się wystartować w roli politycznej nowości, świeżej siły, która naprawi błędy poprzedników. Już dziś przecież jego rząd jest

eprasa.pl b1ccbc3081

bardzo poważnie zużyty. Spirala problemów finansowych, gospodarczych czy wizerunkowych dopiero się rozkręca, o czym piszemy w każdym numerze, analizując upadek jakiejś dziedziny życia i gospodarki w Polsce. Podsumowując, żaden z Tuska Magyar, tak jak żaden z Kaczyńskiego czy Czarnka Orbán. I odwrotnie też żadne podobieństwo tak naprawdę nie zachodzi.

Fałszywa flaga

Gdy wspomniany wcześniej Luiz Inácio Lula da Silva wygrał wybory w Brazylii, nasze liberalne elity niechętne Bolsonaro odtrąbiły wielki sukces. Gdy później Lula okazał się politykiem wciąż bardzo mocno prorosyjskim, zostało to u nas właściwie przemilczane. Przypominam o tym, ponieważ wiele z pierwszych deklaracji i posunięć Magyara również nie wpisuje się w wymarzony przez Tuska i jego kolegów obraz. Przynajmniej w jego oficjalną wersję. Péter Magyar zapowiedział już kontynuację polityki Orbána wobec Rosji. Choć w zamian za unijne środki gotów jest do pewnych ustępstw, to już nie na zmianę kierunku – co tłumaczy położeniem Węgier. Magyar czeka więc na rozmowy i normalizację relacji z Rosją. Z kolei wobec Słowacji, niczym rasowy nacjonalista, twardo postawił sprawę obowiązujących wciąż (co samo w sobie jest dość ciekawe w tolerancyjnej i walczącej z wszelką dyskryminacją Unii) powojennych dekretów Benesza, w pewnych sprawach czyniących słowackich Węgrów obywatelami mocno upośledzonymi w relacjach z państwem. Na arenie krajowej Magyar doprowadził do porozumienia wszystkich trzech partii obecnych w parlamencie w sprawie składania przez parlamentarzystów przysięgi na koronę św. Stefana. Wszystkie te doniesienia wzmocniły obecność na marginesach debaty teorii spiskowej, w myśl której nowy premier jest tak naprawdę elementem wielkiego oszustwa, totalnego wystrychnięcia Unii Europejskiej na dudka przez Viktora Orbána, a cała operacja sukcesji to plan kontynuacji polityki Fideszu z udziałem nowych twarzy. Sens tej teorii czas potwierdzi lub jej zaprzeczy, jednak już teraz zdążyła ona wywołać pewne emocje w polskiej polityce, wzmacniając obecną od kilku miesięcy koncepcję kontrolowanego rozłamu PiS. W jej myśl partia Jarosława Kaczyńskiego miałaby podzielić się na dwa ugrupowania: łowiący po prawej stronie wyborców Konfederacji PiS Przemysława Czarnka i skierowany bardziej w stronę centrum i elektoratu modernizacyjnego neo-PiS Mateusza Morawieckiego. Takie ugrupowania miałyby poszerzyć elektorat, by następnie, jeszcze przed lub już po wyborach, znów połączyć siły i wzmocnione nowymi głosami wrócić do władzy. Trwająca w ubiegłym tygodniu wojna nerwów między frakcjami Prawa i Sprawiedliwości nakręciła zainteresowanie tą teorią, jednak porozumienie między Mateuszem Morawieckim i prezesem Jarosławem Kaczyńskim zakończyło lub przynajmniej zawiesiło dywagacje na ten temat.

Węgry będą nas zajmować zapewne jeszcze długo, a kierunek, w jakim pójdzie ten kraj, jest dziś dla nas jednym wielkim znakiem zapytania. Ta nieprzewidywalność pokazuje nam jednak, jak inna jest sytuacja węgierskiej i polskiej sceny politycznej i jak naciągane są wszelkie podobieństwa. Zamiast czekać na Budapeszt w Warszawie lub celebrować bądź przeklinać Warszawę w Budapeszcie, starajmy się o Warszawę w Warszawie i Budapeszt w Budapeszcie. Jeśli się uda, to już będzie coś. S



Z głębokim smutkiem i żalem przyjęliśmy informację
o śmierci naszego Przyjaciela i Związkowca

Kazimierza Grajcarka

W imieniu
przewodniczących rad krajowych sekretariatów branżowych
oraz pracowników Biura Branżowo-Konsultacyjnego
składam Rodzinie i Najbliższym Zmarłego
wyrazy najszczerszego współczucia.

Bartłomiej Mickiewicz
zastępca przewodniczącego KK „S” ds. branż

eprasa.pl b1ccbc3081

Dominacja ekonomiczna Niemiec hamulcem rozwoju UE

Zbigniew Krysiak

Rozwój gospodarki Europy, w której kluczową jej częścią jest obszar Unii Europejskiej (UE), powinien być analizowany, stymulowany i zarządzany z perspektywy maksymalizacji wzrostu wartości dla wszystkich interesariuszy. Nie jest możliwe istnienie silnej gospodarki UE w sytuacji słabych ekonomii narodowych lub bardzo różniących się potencjałem ekonomicznym. Nieefektywny model ekonomiczny UE jest wynikiem dominacji gospodarki Niemiec, co przekłada się na redukcję tempa wzrostu PKB, a jednocześnie na brak konwergencji potencjałów ekonomicznych państw UE w stosunku do potencjału gospodarczego Niemiec. Na tym tle od 2004 r. obserwuje się dywergencję zamiast konwergencji potencjałów ekonomicznych poszczególnych państw UE w relacji do Niemiec. W procesie oceny procesu konwergencji potencjałów ekonomicznych państw UE skonstruowano tzw. indeks konwergencji potencjałów ekonomicznych (IKPE). Do czynników, które miały istotny wpływ na redukcję rozwoju gospodarczego na tle innych regionów świata, należą: centralizacja systemu gospodarczego w UE, uniform transformacji energetycznej, podatek za emisję CO_2 i waluta euro.

Konstrukcja indeksu polega na przyjęciu Niemiec jako referencyjnej gospodarki i w stosunku do niej oceniane jest skracanie lub wydłużanie dystansu pomiędzy PKB Niemiec i PKB poszczególnych państw w UE. IKPE został oszacowany w funkcji czasu w odniesieniu do określonej daty w przeszłości. W dacie referencyjnej, czyli początku szacowania indeksu, ustalono odległość pomiędzy PKB Niemiec i PKB danego kraju, której przypisano wartość indeksu równą zero. W dalszej kolejności oceniano stopień zmian przedmiotowej odległości w stosunku do odległości początkowej. W wyniku takiego pomiaru przypisano IKPE dla kolejnych lat w okresie 2004–2024. W tym przedziale czasowym zaistniały takie zjawiska jak: wejście Polski i innych krajów Trójmorza do UE, rozszerzanie strefy Schengen, ekspansja kapitału z zachodniej UE do nowych państw członkowskich Unii, wolny przepływ towarów, usług, kapitału i ludzi, kryzys finansowy w 2008 roku, wprowadzenie ETS, transformacja energetyczna i wpływ strefy euro.

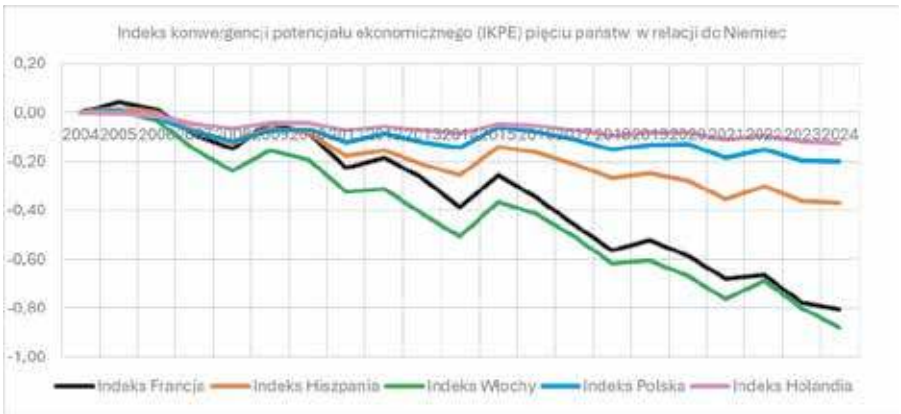
Od 2017 r. obserwuje się silny wzrost kosztu za emisję CO_2 z ok. 5 do 30 euro, a w dalszej kolejności, od 2021 r. – nawet do 100 euro, co bardzo silnie zwiększyło koszty produkcji energii, przekładając się na wzrost cen i redukcję potencjałów kapitałowych przedsiębiorstw energetycznych. Taka sytuacja zmniejszała kapitały, które spółki z sektora energetycznego potrzebowały na inwestycje w technologie umożliwiające produkcję energii po niższych cenach. Wprowadzenie systemu ETS bardzo negatywnie wpłynęło na pogorszenie rozwoju gospodarczego państw z Trójmorza, w tym szczególnie Polskę, gdyż najbardziej jest penalizowana produkcja energii z węgla.

Na **rysunku 1**. zilustrowano IKPE od 2004 r. dla Francji, Hiszpanii, Włoch, Polski i Holandii. W 2004 r. jako roku początkowego pomiaru konwergencji wartość IKPE wynosi zero. W roku 2004 PKB wymienionych państw był mniejszy od PKB Niemiec odpowiednio: dla Francji o 0,742 bln USD, dla Hiszpanii o 1,782 bln USD, dla Włoch o 1,039 bln USD, dla Polski o 2,596 bln USD, dla Holandii zaś o 2,191 bln USD. W dalszej kolejności dystans do Niemiec w okresie do 2024 r. dla wszystkich państw się powiększał.

Najszybciej odległość do Niemiec, mierzona indeksem IKPE, zwiększyła się dla Włoch i Francji oraz dla Hiszpanii, w mniejszym stopniu zaś dla Polski i Holandii. Każdorazowo interpretuje się ten indeks w ten sposób, że jego spadek w kierunku wartości ujemnych oznacza powiększanie się odległości potencjału ekonomicznego do Niemiec,

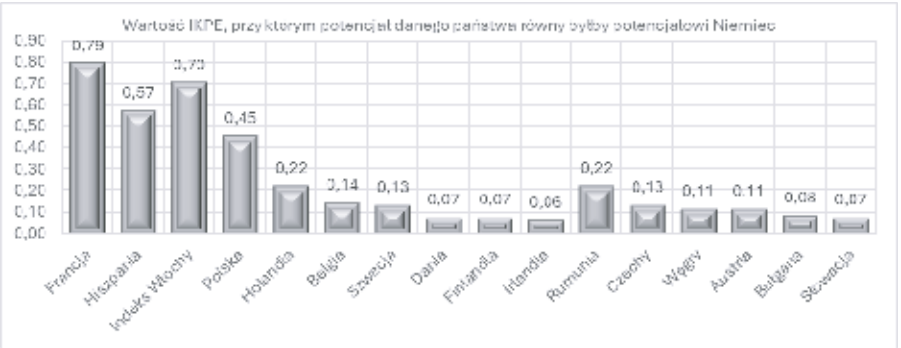
eprasa.pl b1ccbc3081

Rysunek 1. IKPE od 2004 r. dla Francji, Hiszpanii, Włoch, Polski i Holandii



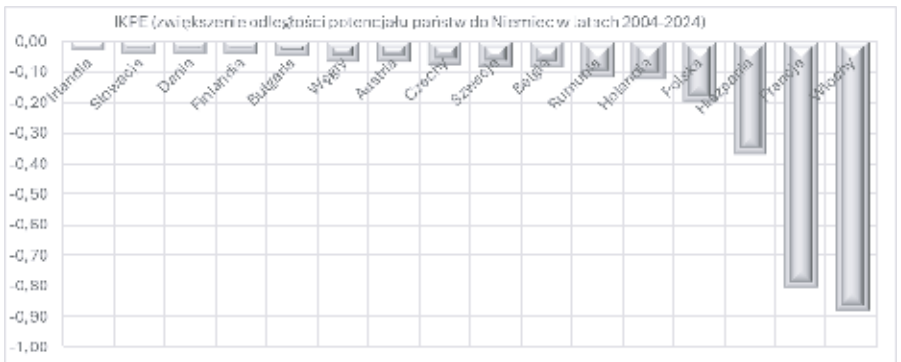
Źródło: Opracowanie własne na podstawie danych z https://www.macrotrends.net/ (dostęp: 10.08.2025).

Rysunek 2. Wartości IKPE, przy których potencjał państw zrównałby się z Niemcami



Źródło: Opracowanie własne.

Rysunek 3. Zestawienie indeksów IKPE dla badanych państw za okres 2004–2024



Źródło: Opracowanie własne.

uzyskiwanie wartości dodatnich lub ich wzrost oznacza zaś skracanie dystansu do Niemiec.

Na rysunku 2. przedstawiono wartości IKPE dla 16 państw z UE, przy których ich potencjał ekonomiczny zrównałby się z Niemcami, a uzyskanie indeksu powyżej tych wartości oznaczałoby, że potencjał danego państwa byłby wyższy od Niemiec. Indeks IKPE może mieć szerokie zastosowanie nie tylko przy pomiarze dystansu potencjału ekonomicznego do Niemiec, ale także pomiędzy poszczególnymi państwami i obszarami ekonomicznymi. Może być także wykorzystany do oceny wpływu różnych czynników mikro- i makroekonomicznych na trendy potencjału ekonomicznego danego regionu, kraju lub obszaru ekonomicznego.

Rysunek 3. zawiera zbiorcze zestawienie indeksu IKPE dla badanych państw na koniec 2024 r., co pozwala porównać, jak bardzo potencjał ekonomiczny państw oddalił się od potencjału Niemiec w okresie 2004–2024. Najbardziej od Niemiec, w stosunku do 2004 r., oddaliły się Francja i Włochy, najmniej zaś Dania, Irlandia i Słowacja.

Europejska Wspólnota Gospodarcza inicjowana przez Roberta Schumana, która niestety została w 1992 r. usunięta przez UE, zakładała równomierny rozwój wszystkich państw wspólnoty. Centralizacja w UE prowadzi do hegemonii gospodarczej Niemiec, co – jak wynika z powiększającej się odległości potencjałów ekonomicznych państw Unii do Niemiec – nie umożliwia konwergencji, a tym samym prowadzi do pogorszenia stanu gospodarki UE na tle innych regionów w świecie.

Inne artykuły prof. Zbigniewa Krysiaka można znaleźć w „Magazynie Optyka Schumana”.

eprasa.pl b1ccbc3081



Czy Magyar JEST TUSKIEM

Péter Magyar, lider partii Tisza, który zwyciężył w wyborach na Węgrzech, to – według słów hungarysty prof. Macieja Szymanowskiego – „Sfinks", w którego życiorysie istnieje **wiele długoletnich luk**.

Agnieszka Żurek

Czy nowy przywódca naszych południowych „bratanków" to „ukryty agent Fideszu", jak chcieliby to widzieć niektórzy komentatorzy, czy też bezideowy „człowiek do wynajęcia", o którego posunięciach politycznych będą decydowali ci lobbyści, którzy przedstawią mu najatrakcyjniejszą w danym momencie ofertę?

eprasa.pl b1ccbc3081



Péter Magyar po ogłoszeniu częściowych wyników wyborów parlamentarnych; Budapeszt, 12 kwietnia 2026 r.

Fot. Marton Monus / Reuters / Forum

Orbán 2.0?

– To szachy 5D Victora Orbána. Wiedział, że zmęczenie władzą narasta, więc oddał rządy dawnemu koledze z partii, który w czasie kampanii wyborczej udawał nastawienie probrukselskie (żeby zapewnić Węgrom unijne środki), a de facto będzie kontynuował dotychczasową politykę lidera Fideszu – tak mniej więcej można podsumować pierwsze, optymistyczne – a może: życzeniowe? – opinie pojawiające się w polskiej konserwatywnej przestrzeni publicznej.

O tym, że Magyar miałby być de facto Orbánem 2.0, mogą świadczyć pierwsze przecieki sugerujące, jak będzie wyglądać jego rząd. Najszerzej komentowana jest propozycja objęcia teki ministra edukacji przez Ritę Rubovszky, którą miał złożyć jej Magyar. Rubowszky jest dyrektorem katolickiej Szkoły Cysterskiej i byłą przewodniczącą Katolickiego Stowarzyszenia Nauczycieli. Sam Magyar ukończył zresztą elitarny, założony w XVII wieku budapeszteński Katolicki Uniwersytet Pétera Pázmánya, na którym uzyskał dyplom z prawa. Lider Tiszy pochodzi ze stolicy Węgier (inaczej niż wychowany na peryferiach Victor Orbán), z dobrze sytuowanej rodziny, której członkowie mieli już na swoim koncie przygody z polityką.

Droga Magyara do władzy nie budzi na razie szacunku, ale przeciwnie – każe zadawać pytania o jego spójność, lojalność oraz o faktycznie wyznawane poglądy. Lider Tiszy jest bez wątpienia skuteczny, o czym świadczy przecież chociażby jego zwycięstwo wyborcze, jednak to, czym zdążył zasłynąć, to na razie „wspięcie się" po szczeblach kariery na plecach Victora Orbána (którego partii Magyar był działaczem, zanim dokonał politycznego zwrotu), a także... własnej (byłej już) żony. Judit Varga była wieloletnią minister sprawiedliwości w węgierskim rządzie i zaufaną współpracownicą byłego premiera. Małżonkowie rozwiedli się z hukiem, a Varga oskarżyła Mayara o stosowanie wobec niej i ich dzieci wieloletniej przemocy fizycznej i psychicznej.

„Spałam, ale obudziłam się około 2 w nocy, kiedy wrócił do domu. Wszedł z impetem do sypialni i włączył światła. Zaczął wrzeszczeć na mnie pijany, że nie odbierałam od niego telefonów. Zastosowałam opracowaną na przestrzeni lat metodę niereagowania na zaczepki. Leżałam w łóżku, czekając, aż się uspokoi. Nie nastąpiło to jednak. Ściągnął z półki książki i uderzył mnie jedną z nich w plecy. Potem poczułam uderzenie klamrą jego paska od spodni. Próbowałam zwinąć się w kłębek i przeczekać to. Starałam się myśleć o czymś innym, przypominać sobie w głowie melodie piosenek, żeby się uspokoić. Bałam się, że uszkodzi mi kręgosłup, ale jeszcze bardziej bałam się poruszyć. W końcu poszedł do salonu i położył się na kanapie, gdzie zasnął. Postanowiłam, że tym razem nie ulegnę późniejszym przeprosinom i rollercoasterowi emocjonalnej przemocy, z którym tyle razy miałam do czynienia przez 16 lat naszego małżeństwa. Byli koledzy i bliscy znajomi powiedzą, kim naprawdę jest. Péter Magyar sprawił wiele bólu nie tylko własnej rodzinie, ale także przyjaciołom i wielu osobom w swoim otoczeniu" – pisała o nim na Facebooku Judit Varga.

Mąż swojej żony

Oczywiście, można stwierdzić, że zazwyczaj była żona nie jest najbardziej wiarygodnym źródłem informacji o swoim eksmałżonku, albo – że życie prywatne polityka nie powinno być analizowane w kontekście jego dokonań w życiu publicznym. Problem jednak w tym, że przez długie lata Magyar był w polityce znany bardziej z bycia „mężem swojej żony" niż z własnych sukcesów. Trudno też zignorować słowa Judit Vargi, która dała się poznać jako polityk z krwi i kości i o której mówiono nawet, że może w przyszłości zastąpić Victora Orbána. „Varga z niezwykłą skutecznością broniła Węgier w Brukseli. Wzbudzała popłoch wśród brukselskiej elity, bezlitośnie

eprasa.pl b1ccbc3081

masakrując ich swoim prawniczym kunsztem. Zyskała uznanie wszystkich najważniejszych ośrodków prawniczych w Europie – także wśród swoich przeciwników. Judit Varga była naprawdę KIMŚ. Miałem zaszczyt ją poznać i prowadzić z nią rozmowy, których walor intelektualny był na najwyższym poziomie" – napisał prof. Grzegorz Górski, prawnik, były sędzia Trybunału Stanu. Profesor Górski postawił tezę, że to Bruksela stoi za wypromowaniem Magyara i że unijni gracze postanowili wykorzystać będący tajemnicą poliszynela kryzys w małżeństwie niewygodnej dla nich polityk i upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu – wyeliminować Vargę z życia publicznego i zastąpić ją jej łatwo sterowalnym mężem.

„Wiosną 2023 roku w okresie walki wyborczej do europarlamentu Varga stała na czele listy Fideszu i prowadziła tę kampanię. To właśnie wtedy Bruksela uruchomiła akcję « Péter Magyar ». W tym momencie małżeństwo Vargi i Magyara było już praktycznie w rozkładzie. Varga wobec trwających od wielu lat przemocowych zachowań męża wraz z trzema synami zamieszkała osobno. Pamiętam dobrze, kiedy w czerwcu 2023 roku opowiadała mi o tej tragedii. Patrzyłem na człowieka, który straszliwie cierpi. Cierpiała nie tyle z powodu własnych przeżyć – bo jest naprawdę silną kobietą – i życiowego zawodu. Cierpiała straszliwie z powodu skali krzywdy, jaką Magyar wyrządził jej (i swoim) synom. To, co mówiła – a wiem, że przecież to była tylko cząstka prawdy – pozwoliło mi zrozumieć, iż Epstein mógłby się naprawdę wiele nauczyć od Magyara.

Zaraz po powrocie do Budapesztu – spotkaliśmy się wtedy w Warszawie – Varga zrezygnowała z kandydowania i wycofała się z polityki. Postanowiła ratować swoich synów przeżywających koszmarne dzieciństwo z powodu zwyrodniałego ojca. O tragedii jej dzieci i jej osobistej wiedziało wiele osób. Wiedzieli też ludzie w Brukseli, wiedziała osobiście przewodnicząca Komisji Europejskiej Ursula von der Leyen, kobieta i matka siedmiorga dzieci. Kto jak kto, ale wydawałoby się, że ona, forsująca politykę godnościową wobec kobiet i dbająca o dzieci w Europie, powinna mieć zrozumienie, co niesie za sobą popieranie takiego zwyrodnialca jak Magyar" – pisze prof. Górski, określając lidera Tiszy mianem „degenerata" uzależnionego od wszystkich możliwych substancji. Sam Magyar tłumaczył pojawiające się w mediach kolejne wypowiedzi świadczących przeciwko niemu kobiet – a szczególnie duży wywiad, którego mediom udzieliła jego była partnerka Evelin Vogel – „rosyjską dezinformacją" oraz „wywieraniem na niego presji psychologicznej przez Fidesz".

> ROZGRYWKA MAGYARA Z FIDESZEM JEST PRAWDZIWA, NIE UDAWANA I POLITYK TEN JESZCZE POKAŻE, CO POTRAFI. A RACZEJ – DO CZEGO JEST ZDOLNY.

Luka po Gyurcsánym

– Na Węgrzech w czasie głośnego rozwodu Vargi i Magyara połowa opinii publicznej wierzyła jemu, połowa – jej. Ci jednak, którzy znali tę parę osobiście, potwierdzali wersję Vargi. Dotyczy to także ich dzieci – mówi w rozmowie ze mną dr Gábor Mihajlik, pracownik naukowy z Budapesztu. – Po ataku Magyara na jego żonę, będącą prawą ręką Orbána, węgierskie lewicowe media go pokochały i zaczęły mu sprzyjać. Magyar musiał mieć także ogromne środki na prowadzenie z rozmachem profesjonalnej kampanii wyborczej. Ci, którzy znają tego polityka, wskazują na jego niestabilność, agresję oraz na to, że jest to człowiek bezideowy, co chwilę zmieniający zdanie i atakujący w zajadły sposób każdego, kto mu się sprzeciwi – wylicza Mihajlik. Mój rozmówca nie ma wątpliwości, że rozgrywka Magyara z Fideszem jest prawdziwa, nie udawana i że polityk ten jeszcze pokaże, co potrafi. A raczej – do czego jest zdolny.

> PRZEZ DŁUGIE LATA MAGYAR BYŁ W POLITYCE ZNANY BARDZIEJ Z BYCIA „MĘŻEM SWOJEJ ŻONY" NIŻ Z WŁASNYCH SUKCESÓW.

– Głosowali na niego ludzie młodzi,

eprasa.pl b1ccbc3081

którzy nie pamiętali rządów lewicy. Magyar wykorzystał też fakt, że lewa strona węgierskiej sceny politycznej nadal ma twarz Ferenca Gyurcsánya, człowieka skompromitowanego i znienawidzonego nawet przez jego niegdysiejszy elektorat. O ile Gyurcsány – i za jego sprawą: lewica – kojarzy się prawie wszystkim z korupcją, o tyle Magyar wywodzi się przecież z Fideszu, toteż teoretycznie nie ma ze „starymi lewakami" nic wspólnego. Ludzie kupili jego mesjanistyczną opowieść o walce z patologiami władzy, na to nałożyło się naturalne zmęczenie szesnastoma latami rządów Orbána, i mamy, co mamy. Na tego polityka zagłosowali zwłaszcza ludzie niedoświadczeni oraz... bardzo bogaci (wśród nich lider Tiszy cieszy się niemal 90% poparciem. Sam Magyar zawsze dobrze zarabiał, ale swoje doskonale płatne posady w rozmaitych spółkach oraz organizacjach rządowych i unijnych zawdzięczał raczej swojej żonie niż sobie – wskazuje Mihajlik.

Węgierska onuca?

Hungarysta prof. Maciej Szymanowski podkreśla w rozmowie z „TS", że w życiorysie Magyara jest wiele wieloletnich luk. – Nie bardzo wiadomo, czym się zajmował. Podobno dwukrotnie był na stypendiach językowych w Berlinie. Ale w internecie nie sposób znaleźć, mnie przynajmniej to się nie udało, żadnej jego wypowiedzi, wywiadu sformułowanego w tym języku. Ciekawe, że nawet w kampanii nie chwalił się swoimi sukcesami w życiu zawodowym. Choć pracował w różnych korporacjach czy bankach, ma 45 lat, nie zdradza, że to on jest autorem czy współautorem takiego czy innego projektu – zauważa prof. Szymanowski. – Na pewno jest przystojnym i bardzo pewnym siebie politykiem. Trudno mówić o jego poglądach, bo często je zmienia. Potrafi przez dwie godziny mówić na konferencji prasowej, odpowiadając na pytania tzw. zaprzyjaźnionych polityków, nie udzielając ani na chwilę głosu żadnej z otaczających go osób, które podobno mają zostać ministrami. Także poglądy wspomnianych pozostają w sferze politycznych spekulacji – dodaje.

Prof. Szymanowski zauważa, że choć na Tiszę padło oczywiście 3,1 mln głosów, to jednak rządząca nieprzerwanie od 2010 roku koalicja Fideszu i chadeckiej KDNP otrzymała ich 2,4 miliona, co nie jest przecież złym wynikiem. – Jasne, to przegrana, ale jak na naturalne przecież zmęczenie długoletnimi rządami, to na pewno nie klęska. Oczywiście, zgodnie z bardziej większościową niż proporcjonalną węgierską ordynacją wyborczą, przyniosło to partii Tisza imponująco brzmiącą dla ucha każdego Polaka większość 2/3 głosów, ale w parlamencie oznacza to przecież, że nowy rząd nie bardzo będzie miał możliwość zrzucać odpowiedzialność za bardziej niż prawdopodobne niewywiązywanie się ze swoich obietnic wyborczych. A mówimy tu nawet nie o setkach, ale tysiącach „konkretów" – zaznacza mój rozmówca.

Czy oznacza to, że Orbán nie powiedział jeszcze w węgierskiej polityce ostatniego słowa? – Nie chcę spekulować. Zauważę tylko, że ostatnio, kiedy lider Fideszu był w opozycji po oddaniu władzy w 2002 roku, przeorganizował partię tak, że liczba jej członków skoczyła z 5 do niemal 100 tysięcy członków – wskazuje prof. Szymanowski.

Co zwycięstwo Magyara oznacza dla Polski? Oczywiście na razie trudno zgadywać, zwłaszcza że na dobrą sprawę nie wiemy jeszcze, co oznacza ono dla Węgier. Profesor Szymanowski przewiduje, że lider Fideszu może spowodować spore zamieszanie w naszej części Europy. – Jeśli premier Magyar podtrzyma swoją retorykę, której używa także po zakończeniu kampanii wyborczej, że premier Rumunii jest „antywęgierski", premier Słowacji jest „przestępcą" etc., to szykuje się nam w Europie Środkowej, która jest systemem naczyń połączonych, całkiem niezły kryzys polityczny, co rykoszetem uderzy w Warszawę – zauważa hungarysta. I dodaje: – Zapowiedź szybkiego złożenia wizyty w stolicy Polski przez Magyara jest bez wątpienia korzystna. Jego antyamerykańska retoryka powiązana ze zobowiązaniem prezesa koncernu MOL do złożenia z niewiadomych powodów szybkiej wizyty w Moskwie (a nie w Kijowie!) z powodu konieczności uruchomienia dostaw przez uszkodzony ropociąg „Przyjaźń" może z kolei okazać się zimnym prysznicem dla wszystkich tych, którzy wydarzenia nad Dunajem interpretują z perspektywy polityki toczącej się nad Wisłą.

PO ATAKU MAGYARA NA JEGO ŻONĘ, BĘDĄCĄ PRAWĄ RĘKĄ ORBÁNA, WĘGIERSKIE LEWICOWE MEDIA GO POKOCHAŁY I ZACZĘŁY MU SPRZYJAĆ.

eprasa.pl b1ccbc3081

Amerykanie domagają się tańszej energii

W Stanach Zjednoczonych przybiera na sile polityczny spór wokół kosztów transformacji energetycznej i bezpieczeństwa energetycznego. W obliczu rosnących cen prądu kolejne stany oraz administracja federalna modyfikują dotychczasowe programy i podejście do tych tematów. Debata publiczna po drugiej stronie Atlantyku coraz częściej przesuwa się w stronę **suwerenności energetycznej** i obniżki kosztów życia, nawet jeśli oznaczać to ma złagodzenie ambitnych celów klimatycznych.

Tomasz Winiarski

W drugim roku urzędowania Donalda Trumpa w Białym Domu w wielu amerykańskich stanach narasta opór wobec polityki transformacji energetycznej polegającej na zastąpieniu tradycyjnych źródeł energii, takich jak paliwa kopalne, bardziej ekologicznymi, takimi jak odnawialne źródła energii. Trend ten odzwierciedlają badania opinii publicznej – według wyników zeszłorocznego sondażu Siena College już ponad 60 procent Nowojorczyków deklaruje, że utrzymanie niskich cen energii jest dla nich ważniejsze niż ograniczanie emisji gazów cieplarnianych.

„Rachunki za energię znajdują się w centrum kryzysu kosztów życia w Nowym Jorku" – pisała na początku kwietnia grupa republikańskich kongresmenów w liście do demokratycznej gubernator stanu Nowy Jork Kathy Hochul. Politycy powoływali się na badanie, które wykazało, że ceny energii elektrycznej w tym stanie plasowały się w grudniu ubiegłego roku jako szóste najdroższe spośród wszystkich 50 stanów i były o 59 procent wyższe od średniej krajowej.

To wyraźne sygnały, że obecnie amerykańscy podatnicy nie chcą ponosić coraz wyższych kosztów przesiadki na „zieloną energię".



Fot. Adobe Stock

Kosztowna rewolucja

Przyjęta w 2019 roku ustawa Climate Leadership and Community Protection Act (CLCPA) miała uczynić ze stanu Nowy Jork lidera transformacji energetycznej w Stanach Zjednoczonych. Jej ambitne założenia obejmujące między innymi osiągnięcie 70-procentowego udziału energii odnawialnej w stanowym miksie do 2030 roku szybko jednak zaczęły zderzać się z realiami ekonomicznymi, które podważyły tempo i skalę planowanych zmian.

„Niezaprzeczalny fakt jest taki, że nie możemy osiągnąć celów ustawy klimatycznej na rok 2030 bez nałożenia nowych, dodatkowych i przytłaczających kosztów na przedsiębiorstwa i mieszkańców Nowego Jorku. Mówiąc wprost, z czegoś będziemy musieli zrezygnować" – pisała w marcu gubernator stanu Kathy Hochul.

Według dokumentów przygotowanych przez administrację stanową pełne wdrożenie przepisów klimatycznych oznaczałoby wzrost wydatków dla przeciętnego gospodarstwa domowego w Nowym Jorku o 4000 dolarów rocznie. Z kolei ceny benzyny mogłyby wzrosnąć o ponad 2 dolary za galon.

Republikański kandydat w tegorocznych wyborach na gubernatora Nowego Jorku Bruce Blakeman opowiada się za likwidacją wartego 2,4 miliarda dolarów stanowego funduszu „zielonej" energii (Climate Investment Account) – mechanizmu finansującego inwestycje w odnawialne źródła energii i modernizację infrastruktury, współfinansowanego pośrednio przez odbiorców energii – oraz za zwrotem tych środków podatnikom, ostro krytykując politykę prowadzoną przez administrację Kathy Hochul.

Zdaniem Blakemana wysokie rachunki za energię w Nowym Jorku są bezpośrednim skutkiem przyjętych tam regulacji, które on określa mianem oszustwa.

– Za rządów Kathy Hochul Nowy Jork stał się najdroższym stanem w kraju, gdy tylko chcesz zapalić światło. Ona nadzorowała 36 podwyżek stawek za energię, jednocześnie forsując regulacje, które produkują niewiele energii, a generują ogromne koszty – mówił Blakeman.

Istotnie, koszty energii elektrycznej w stanie Nowy Jork należą dziś do najwyższych w Stanach Zjednoczonych – średnie ceny wynoszą około 24–26 centów za jedną kilowatogodzinę (kWh). Stan regularnie plasuje się w czołówce najdroższych rynków energetycznych kraju, obok między innymi Kalifornii czy Hawajów. Dla porównania w stanach takich jak Teksas czy Floryda, w których energia jest najtańsza, 1 kWh prądu elektrycznego kosztuje około połowy mniej niż w Nowym Jorku.

Zmiana paradygmatu

Administrator federalnej Agencji Ochrony Środowiska (EPA) Lee Zeldin już w ubiegłym roku ostro skrytykował nowojorską ustawę klimatyczną, określając ją mianem „urojeniowej" i ostrzegając przed jej potencjalnie negatywnymi skutkami gospodarczymi. W jego ocenie cele transformacji energetycznej w aktualnym kształcie pozostają nieosiągalne, a ich realizacja prowadzi przede wszystkim do wzrostu kosztów życia dla mieszkańców Stanów Zjednoczonych.

– To lewicowy przepis na katastrofę energetyczną i gospodarczą. Pomysł, że możemy zastąpić stabilne źródła energii niestabilnymi, takimi jak wiatr, jest po prostu oderwany od rzeczywistości – stwierdził Zeldin.



Administracja Donalda Trumpa zawarła w marcu z francuskim koncernem TotalEnergies porozumienie o wartości blisko 928 milionów dolarów przewidujące anulowanie dzierżaw pod morskie farmy wiatrowe u wybrzeży stanów Nowy Jork i Karolina Północna. W zamian spółka zobowiązała się skierować te środki na inwestycje w wydobycie ropy naftowej i gazu ziemnego w Stanach Zjednoczonych. Takie podejście wpisuje się w szerszą zmianę priorytetów energetycznych obecnej amerykańskiej administracji, która w myśl wielokrotnie powtarzanej podczas kampanii prezydenckiej, a także podczas pełnienia urzędu przez Donalda Trumpa zasady „Drill, baby, drill" priorytetowo traktuje paliwa kopalne.

Takie podejście wpisuje się w szerszą zmianę priorytetów energetycznych obecnej administracji, która stawia na maksymalizację krajowego wydobycia paliw kopalnych, rozwój infrastruktury przesyłowej, w tym rurociągów, oraz budowę szeroko rozumianej „amerykańskiej niezależności energetycznej".

Jest to jednocześnie wyraźne przeciwieństwo kursu obranego przez poprzednią administrację Joe Bidena, która priorytetowo traktowała transformację energetyczną i rozwój odnawialnych źródeł energii. Symbolicznym punktem tego sporu stała się decyzja Bidena o zablokowaniu projektu gazociągu Keystone XL Pipeline, co przez środowiska konserwatywne było interpretowane jako uderzenie w amerykański sektor naftowy i miejsca pracy.

Dodatkowo wypowiedzi Bidena sugerujące możliwość ograniczenia lub wygaszania rozwoju tzw. szczelinowania hydraulicznego (hydraulic fracturing) budziły szczególny niepokój w stanach z silnym przemysłem wydobywczym.

W efekcie zarysowały się dwie wyraźnie konkurencyjne wizje rozwoju energetyki Stanów Zjednoczonych – jedna, reprezentowana przez Donalda Trumpa, oparta na użytkowaniu paliw kopalnych, suwerenności energetycznej i niskich kosztach energii, oraz druga, forsowana przez Joe Bidena, zakładająca przyspieszoną dekarbonizację gospodarki i inwestycje w zieloną energię.

Spór ten miał również wyraźny wymiar polityczny – w stanach takich jak Pensylwania wielu pracowników sektora wydobywczego skłaniało się ku narracji Donalda Trumpa postrzeganego jako obrońca przemysłu paliw kopalnych, podczas gdy stanowisko Joe Bidena było odbierane jako mniej przychylne dla tradycyjnych gałęzi energetyki.

– Era, w której podatnicy subsydiują niewiarygodną, nieprzystępną cenowo i niezabezpieczoną energię, oficjalnie dobiegła końca – powiedział tej wiosny sekretarz spraw wewnętrznych Doug Burgum podczas konferencji CERAWeek organizowanej przez firmę S&P Global w Houston w Teksasie.

Markus Krebber, prezes niemieckiej spółki RWE, odmówił komentarza w sprawie ewentualnych rozmów z Waszyngtonem dotyczących inwestycji w czystą energię w USA przez jego firmę, zaznaczając jednak, że doświadczenie nauczyło go jednego – konfrontacja z danym rządem w kwestiach fundamentalnych dla jego obecnej polityki energetycznej rzadko okazuje się rozsądną strategią.

– Zostaliśmy zmuszeni do wycofania się z energetyki jądrowej, poszliśmy do sądów i uzyskaliśmy z tego tytułu duże odszkodowania. Otrzymaliśmy rekompensaty

PEŁNE WDROŻENIE PRZEPISÓW KLIMATYCZNYCH OZNACZAŁOBY WZROST WYDATKÓW DLA PRZECIĘTNEGO GOSPODARSTWA DOMOWEGO W NOWYM JORKU O 4000 DOLARÓW ROCZNIE.

EWENTUALNA WALKA ZE ZMIANAMI KLIMATYCZNYMI NIE MOŻE ZDANIEM OBECNYCH WŁADZ USA ODBYWAĆ SIĘ KOSZTEM PODSTAWOWEGO BEZPIECZEŃSTWA FINANSOWEGO TAMTEJSZYCH RODZIN I GOSPODARSTW DOMOWYCH.

eprasa.pl b1ccbc3081

za odejście od węgla. A teraz firmy dostają rekompensaty za wycofanie się z inwestycji w energię wiatrową – powiedział Krebber.

Tani prąd

W bieżącym roku kwestia bezpieczeństwa energetycznego wyraźnie wysuwa się na centralne miejsce debaty politycznej w całych Stanach Zjednoczonych, zyskując na znaczeniu zarówno w kontekście napięć geopolitycznych, w które bezpośrednio zaangażowana jest Ameryka – takich jak operacja militarna w Iranie – jak i trwającej kampanii przed wyborami uzupełniającymi do Kongresu.

W rezultacie rosnącej presji politycznej i gospodarczej zarządzane przez Demokratów inne stany coraz częściej zmuszane są do rewizji swoich dotychczasowych programów energetycznych oraz weryfikacji przyjętych założeń transformacji tego sektora.

W grudniu gubernator Maryland Wes Moore, podpisując rozporządzenie wykonawcze mające przyciągnąć nowe źródła wytwarzania energii do rządzonego przez siebie stanu, podkreślił ograniczenia w możliwościach wpływania władz na ceny energii i wskazał na konieczność działań łagodzących ich skutki.

– Nie ma gubernatora, który mógłby powiedzieć: „Ceny energii spadają", ponieważ nie ma gubernatora, który powoduje ich wzrost. Żaden gubernator nie może obniżyć cen. Ale tutaj, w Maryland, zrobimy wszystko, co w naszej mocy, aby przynieść ulgę mieszkańcom – zaznaczył.

Podobne dyskusje toczą się również w stanie Massachusetts, w którym ustawodawcy analizują możliwość ograniczenia programu doliczającego dodatkowe opłaty do rachunków za energię finansującego między innymi pompy ciepła i modernizacje zwiększające efektywność energetyczną.

Jednocześnie gubernator Massachusetts Maura Healey wprowadziła wiele zmian w polityce energetycznej stanu, których celem jest poprawa przystępności cenowej energii dla mieszkańców.

Z kolei w stanie Rhode Island gubernator Dan McKee zaproponował przesunięcie terminu osiągnięcia 100 procent energii elektrycznej w stanie wytwarzanej z odnawialnych źródeł z 2033 na 2050 rok, argumentując to tym, że dotychczasowy harmonogram mógłby prowadzić do zbyt wysokich kosztów w krótkim okresie.

– Największym problemem, o którym słyszę dziś od mieszkańców Rhode Island, są rosnące rachunki za energię. Musimy zapewnić im ulgę już teraz – powiedział McKee po zaproponowaniu zmniejszenia stanowych opłat doliczanych do rachunków, które finansowałyby programy wspierające rozwój odnawialnych źródeł energii, w tym instalacje paneli słonecznych oraz inne działania klimatyczne. Według jego szacunków pozwoliłoby to zaoszczędzić mieszkańcom 1 miliard dolarów w ciągu pięciu lat.

Republikanie, wspierani przez politykę Donalda Trumpa, konsekwentnie stawiają na suwerenność energetyczną oraz obniżanie kosztów życia, chcąc ulżyć wyborcom zmęczonym rosnącymi cenami energii. W ujęciu Białego Domu prąd elektryczny ma być przede wszystkim tani, ze stabilnego źródła i dostępny, a nie podporządkowany kosztownym programom transformacji energetycznej.

Ewentualna walka ze zmianami klimatycznymi nie może zdaniem obecnych władz USA odbywać się kosztem podstawowego bezpieczeństwa finansowego tamtejszych rodzin i gospodarstw domowych. Amerykańska prawica promuje wizję polityki energetycznej opartej na obfitości i niskich cenach energii, które mają stanowić jeden z fundamentów wzrostu gospodarczego oraz dobrobytu klasy średniej.



„Nie umiera ten, kto trwa w pamięci żywych"

Z żalem żegnamy

śp. Kazimierza Grajcarka

Odszedł od nas Człowiek niezłomny,
całkowicie oddany sprawom górników i polskiego górnictwa.
Przez lata przewodzenia KSGiE NSZZ „Solidarność"
był dla nas wzorem dialogu i walki o godność pracowniczą.

Rodzinie i Najbliższym składamy płynące z serca wyrazy współczucia.

OZ NSZZ „Solidarność" ZG Sobieski
Południowy Koncern Węglowy S.A.

eprasa.pl b1ccbc3081

KULTURA

Czytaj też:
W łączności z Maryją 54
Dwoje na falach historii 56

NIE SZUKAM łatwych i chwytliwych fraz

– Myślę, że bliżej mi do uważności i obserwacji niż do jakiejkolwiek „grozy” – mówi **Ola Królik**, wokalistka, autorka tekstów, pedagog, w rozmowie z **Bartoszem Boruciakiem**.



Fot. Magdalena Sobieska

– Zacznijmy od pewnego przewrotnego wątku. Tytuł Twojego singla „Nie patrzcie tak na mnie” może sugerować pewną „grozę”, pewien dystans, może nawet chłód. Powiedz więc szczerze – czy naprawdę jesteś taka, jak sugeruje tytuł? Czy jest się czego bać?

– Absolutnie nie. Ten tytuł jest trochę przewrotny, może nawet lekko prowokacyjny, ale nie należy go traktować dosłownie. Lubię bawić się znaczeniami i emocjami, natomiast sama jestem raczej spokojną osobą. Myślę, że bliżej mi do uważności i obserwacji niż do jakiejkolwiek „grozy”.

– Twoja muzyka jest bardzo energetyczna, dynamiczna, ale też niejednoznaczna stylistycznie. Słychać w niej folk, elektronikę, pojawia się też pewna teatralność. Czy to kierunek, który chcesz rozwijać, czy raczej naturalny efekt Twojego sposobu tworzenia?



Ola Królik nie zwalnia tempa i prezentuje kolejny tegoroczny singiel. „**Nie patrzcie tak na mnie**” to przewrotna opowieść o emocjach, jakie wzbudzają... domowe porządki!

– To raczej efekt mojego sposobu myślenia o muzyce. Dla mnie każda piosenka jest osobnym światem, osobnym spektaklem, który rządzi się własnymi prawami. Kiedy pojawia się pomysł na tekst, niemal równolegle pojawiają się konkretne brzmienia, kolory, emocje. Ja to wręcz „widzę” i „słyszę” jednocześnie. Dlatego nie trzymam się jednego stylu – bo każda historia wymaga innego języka muzycznego.

– Wspomniałaś o spektaklu – to bardzo ciekawe, bo od razu nasuwa się skojarzenie z teatrem. Czy to właśnie Twoje doświadczenia teatralne wpływają na sposób, w jaki tworzysz muzykę?

– Tak, zdecydowanie. Od wielu lat jestem związana z Akademią Sztuk Teatralnych w Krakowie i ten świat bardzo mocno mnie ukształtował. Teatr nauczył mnie myślenia obrazami, emocją, dramaturgią. I to wszystko naturalnie przenika do muzyki – zarówno w warstwie tekstowej, jak i brzmieniowej.

– Czyli można powiedzieć, że teatr stał się dla Ciebie fundamentem, a muzyka jego rozwinięciem?

– W pewnym sensie tak, chociaż nie traktuję tego w sposób hierarchiczny. Staram się przede wszystkim słuchać siebie i tego, co jest dla mnie w danym momencie najważniejsze. A obecnie czuję, że to właśnie pisanie piosenek jest moją główną potrzebą.

– A czy myślisz o współpracy z innymi artystami? O pisaniu tekstów czy muzyki dla kogoś?

– Bardzo bym tego chciała. To byłoby dla mnie niezwykle ciekawe doświadczenie – móc wejść w czyjąś wrażliwość i stworzyć coś wspólnie albo dla kogoś. Myślę, że to zupełnie inny rodzaj twórczości, ale równie wartościowy.

ŚPIEW MOŻE BYĆ CZYMŚ BARDZO UWALNIAJĄCYM.

– Muszę przyznać, że uderza mnie w Tobie jedna rzecz – sposób, w jaki mówisz. Jesteś bardzo konkretna, oszczędna w słowach, nie tworzysz długich opowieści wokół prostych pytań. Czy to Twoja naturalna cecha, czy pewna forma świadomej kreacji?

– To raczej naturalne. Po prostu lepiej czuję się jako słuchacz niż jako osoba mówiąca. Lubię obserwować ludzi, słuchać ich historii, przyglądać się emocjom. Mówienie nie jest dla mnie pierwszym wyborem.

– Czyli można powiedzieć, że to Twoja muzyka mówi za Ciebie?

– Tak, to bardzo trafne określenie. Muzyka jest moim językiem.

– Tyle że współczesny rynek muzyczny często opiera się nie tylko na samej twórczości, ale też na komunikacji, obecności medialnej, budowaniu wizerunku. Nie obawiasz się, że brak tej „gadatliwości” może być przeszkodą?

– Mam świadomość, że to może być wyzwanie. Ale jednocześnie wiem, że nie chcę działać wbrew sobie. Największą wartością jest dla mnie proces tworzenia – to, co dzieje się w środku. Jeśli znajdą się ludzie, którzy to poczują, to wspaniale. Jeśli będzie ich mniej – też to przyjmuję.

– Czyli nie liczby, nie zasięgi, nie popularność są dla Ciebie najważniejsze?

– Nie. Oczywiście to miłe, kiedy muzyka trafia do szerokiego grona odbiorców, ale to nie jest mój główny cel. Najważniejsze jest dla mnie samo tworzenie.

– To w takim razie zapytam wprost: jaki jest Twój główny cel jako artystki?

O singlu „Nie patrzcie tak na mnie”

– Wiosenne porządki, domowe wykopaliska, obrazy, zapachy, podskoki serca stały się tematem mojej kolejnej piosenki. Na początku był wiersz, zapisany w „tajnym zeszycie”, później poprosiłam Krzysztofa Pabiana o uruchomienie swoich mocy twórczych przy tworzeniu muzyki. Szkic piosenki stał się moim prywatnym samochodowo-prysznicowym przebojem. Mam nadzieję, że spodoba się Wam ten trochę zabawny utwór — opowiada Ola Królik.

eprasa.pl b1ccbc3081

– Możliwość pisania. Sam moment tworzenia jest dla mnie czymś niezwykłym – trudno to porównać z czymkolwiek innym. Może tylko kontakt z publicznością dorównuje tej energii. Gdybym mogła, najchętniej pominęłabym wszystkie etapy pośrednie i przechodziła od razu od tworzenia do występu.

– Skoro jesteśmy przy realiach: wielu młodych artystów zmaga się z pytaniem o stabilność finansową. Ty mówisz o tworzeniu bez presji. Jak to wygląda w praktyce?

– Na co dzień pracuję w Akademii Sztuk Teatralnych w Krakowie oraz w Instytucie Muzyki w Kielcach. To są moje główne miejsca pracy. Dzięki temu mam przestrzeń i spokój, by tworzyć muzykę bez presji.

TEATR NAUCZYŁ MNIE MYŚLENIA OBRAZAMI, EMOCJĄ, DRAMATURGIĄ.

– Czyli muzyka jest Twoją drugą drogą?

– Tak, ale bardzo ważną. To przestrzeń wolności i przyjemności.

– Mówiłaś, że kiedyś miałaś większą presję...

– Tak, szczególnie w czasie studiów. Wydawało mi się wtedy, że wszystko musi wydarzyć się szybko – że trzeba nagrać płytę, zaistnieć. Dziś wiem, że życie jest bardziej złożone i każdy ma swój rytm.

Ola Królik

to doświadczona artystka estradowa, która występuje zarówno jako solistka w autorskich projektach, takich jak: Ola Królik@Epiphany, Mollstreet, Śrubki czy Brathanki oraz głos wspierający w popularnych zespołach, m.in.: Bajm, Grzegorz Turnau, Ewa Farna. Na swoim koncie ma również udziały w licznych programach telewizyjnych i festiwalach („Jaka to melodia", „Szymon Majewski Show", „Śpiewaj i walcz", Krajowy Festiwal Polskiej Piosenki w Opolu, Sopot Festiwal). Jest wokalistką, autorką tekstów i kompozytorką. Jak sama twierdzi, wiele ekscytacji czerpie z odkrywania zależności pomiędzy głosem a emocjami, ruchem i procesami zachodzącymi w ciele.

Poza sceną Ola Królik jest również pedagogiem i wykłada na Akademii Sztuk Teatralnych w Krakowie oraz w Instytucie Muzyki przy Uniwersytecie Jana Kochanowskiego w Kielcach. Swoją pasją dzieli się także z uczestnikami licznych warsztatów muzycznych m.in.: Młodzi grają rocka; Muzyczna Owczarnia; 4 struny świata; Muzyczna Kuźnia; Blues nad Bobrem; Integracja dźwiękiem malowana; Ogólnopolskie Warsztaty Muzyczne w Lubawie; warsztaty muzyczne w Pałacu Zielińskich w Kielcach czy zimowe oraz letnie warsztaty muzyczne w Stalowej Woli, a także podczas licznych festiwali, takich jak: T-Mobile Nowe Horyzonty; Festiwal im. Krzysztofa Klenczona w Pułtusku czy Harcerski Festiwal Kultury Młodzieży Szkolnej „Wiatraczek".

– Co w takim razie jest dla Ciebie najważniejsze poza sztuką?

– Rodzina. To mój fundament. A zaraz potem rozwój – fascynuje mnie człowiek, jego głos, ciało, psychika, proces twórczy.

– Uczysz także śpiewu. Czy Twoim zdaniem każdy może śpiewać?

– Tak, każdy. Problemem najczęściej nie jest brak umiejętności, tylko blokady – wstyd, strach przed oceną. A śpiew może być czymś bardzo uwalniającym.

– Pracujesz zarówno w Krakowie, jak i w Kielcach. To dwa różne środowiska. Czy trudno je pogodzić?

– Nie, ponieważ pracuję z ludźmi sztuki, a oni – niezależnie od miejsca – mają podobną wrażliwość.

– A prywatnie – czy jest coś, czego nie lubisz robić?

– Sprzątania. Choć jednocześnie lubię porządek, więc to taka wewnętrzna sprzeczność.

NIE LUBIĘ SPRZĄTANIA. CHOĆ JEDNOCZEŚNIE LUBIĘ PORZĄDEK, WIĘC TO TAKA WEWNĘTRZNA SPRZECZNOŚĆ.

– Na koniec zapytam o coś, co interesuje wielu odbiorców: co wyróżnia Olę Królik na tle innych artystek?

– Myślę, że moja historia i szczerość. Nie szukam łatwych, chwytliwych fraz – zależy mi na treści i autentycznym przekazie.

eprasa.pl b1ccbc3081

MIX PŁYT Bartosz Boruciak

ZAYN – KONNAKOL
WYD. MERCURY



To zaskakująca i odważna próba połączenia nowoczesnego R&B z elementami rytmicznej tradycji południowoindyjskiej. Już od pierwszych utworów słychać, że artysta eksperymentuje z formą i strukturą, wykorzystując konnakol jako integralny element aranżacji, a nie tylko egzotyczny dodatek. Produkcja jest gęsta, momentami wręcz hipnotyczna, ale jednocześnie pozostawia przestrzeń dla charakterystycznego wokalu Zayna. Teksty balansują między introspekcją a zmysłowością, tworząc spójny, choć momentami nieco nierówny, obraz emocjonalny. To płyta wymagająca skupienia, lecz nagradzająca cierpliwego słuchacza.

CHARLEY – THE CHRONICLES OF A SERIAL IDEALIST
WYD. UNIVERSAL MUSIC



Intymna i refleksyjna opowieść o wrażliwości w świecie pełnym sprzeczności. Artystka stawia na minimalistyczne aranżacje, w których dominują delikatne pianino, ambientowe tła i subtelna elektronika. Dzięki temu jej głos i teksty wysuwają się na pierwszy plan, tworząc poczucie bliskości z odbiorcą. Tematyka albumu oscyluje wokół idealizmu, rozczarowań i prób zachowania autentyczności. Choć niektóre utwory mogą wydawać się zbyt jednolite, całość broni się szczerością i emocjonalną głębią, która zostaje ze słuchaczem na dłużej.

JESSIE WARE – SUPERBLOOM
WYD. UNIVERSAL MUSIC



To album pełen światła i elegancji, który rozwija fascynację Jessie Ware brzmieniem disco i soulu lat 70., jednocześnie zachowując współczesną świeżość. Produkcja jest dopracowana w każdym detalu: pulsujące basy, subtelne smyczki i ciepłe syntezatory tworzą atmosferę luksusu i nostalgii. Wokal brzmi pewnie i dojrzale, niosąc teksty o miłości, bliskości i odnajdywaniu siebie. Album jest spójny stylistycznie, choć momentami przewidywalny w strukturze. Mimo to „Superbloom" urzeka konsekwencją i klasą, będąc jedną z bardziej dopracowanych pozycji w dyskografii artystki.

M.I.A. – M.I.7
WYD. OHMNIMUSIC



Dynamiczny i bezkompromisowy powrót artystki do formy. Ponownie miesza ona gatunki i wpływy kulturowe. Album jest pełen energii, z wyraźnymi odniesieniami do muzyki klubowej, grime'u i globalnych brzmień, które od lat definiują jej styl. Produkcja jest surowa, momentami chaotyczna, ale właśnie w tym tkwi jej siła. Teksty M.I.A. pozostają polityczne i prowokacyjne, komentując rzeczywistość z charakterystyczną bezpośredniością. „M.I.7" nie jest płytą łatwą ani wygodną, ale zdecydowanie angażującą i przypominającą, dlaczego artystka wciąż pozostaje jedną z najbardziej wyrazistych postaci sceny.

eprasa.pl b1ccbc3081

FILM

W łączności z Maryją

2 kwietnia tego roku minęło 21 lat od śmierci św. Jana Pawła II. Dzień po tej rocznicy w Warszawie spłonął krzyż, pod którym Ojciec Święty odprawiał Mszę Świętą podczas swojej pierwszej pielgrzymki do Polski. Nietrudno dopatrywać się w tym wydarzeniu symboliki. Na pewno każe ono zastanowić się nad dziedzictwem papieża Polaka. Jego spuścizna jest oczywiście wielowątkowa, ale całe życie Karola Wojtyły przenika jeden z nich – wątek maryjny – i to jemu poświęcony jest film dokumentalny „**Maryja. Matka Papieża**” w reżyserii Jana Sobierajskiego.

Krzysztof Karnkowski



Fot. kadr z filmu

Życie Karola Wojtyły z Matką Bożą splecione jest od pierwszych sekund, od narodzin, którym towarzyszyły wpadające przez okno modlitwy z bliskiego jego domu rodzinnego kościoła w Wadowicach. To do Niej, za wskazaniem swego ojca, odwoływał się, gdy jako dziecko stracił matkę, do Niej modlił się przed i po szkole z kolegami w kaplicy Matki Bożej Nieustającej Pomocy w swym kościele parafialnym; to tę specjalną relację podkreślił, od młodego wieku przyjmując szkaplerz; to do Niej wreszcie modlił się, przystępując do kręgu Żywego Różańca na krakowskich Dębnikach. Jak czytamy na stronie Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, przyszły papież w pewnym momencie nabrał nawet wątpliwości, czy jego przywiązanie do Matki Bożej nie przesłania mu relacji z samym Chrystusem, jednak uporządkować tę duchową kwestię pomogła mu lektura „Traktatu o doskonałym nabożeństwie do Najświętszej Marii Panny” autorstwa św. Ludwika Marii Grigniona de Montforta. To z tego dzieła Karol Wojtyła zaczerpnął dewizę „Totus Tuus” (z łac. Cały Twój) towarzyszącą mu przez całą jego kapłańską drogę. Jako kapłan Karol Wojtyła często odwiedzał polskie miejsca kultu maryjnego, powracał do nich również jako papież. Ważnym miejscem był dla niego Gietrzwałd, gdzie w 1967 roku wraz z prymasem Stefanem Wyszyńskim uczestniczył w uroczystościach koronacji Matki Bożej Gietrzwałdzkiej. 10 lat później Wojtyła zastąpił tam chorego Prymasa Tysiąclecia, by poprowadzić uroczystości z okazji 100-lecia uznania tamtejszych objawień przez Kościół. Wkrótce został wybrany na papieża.

eprasa.pl b1ccbc3081

Matka Boża znajdzie swoje miejsce także w papieskiej heraldyce, co prowadzić będzie nawet do pewnych sporów ze specjalistami. „Gdy Karol Wojtyła został papieżem, nadworny heraldyk watykański abp Bruno Bernard Heim próbował go nakłonić do zmiany wizerunku herbowego, a szczególnie zależało mu na usunięciu z herbu litery, jako znaku niestosownego dla heraldyki z zasady operującej symboliką obrazową, a nie liternictwem. Proponował zastąpić literę «M» innym motywem maryjnym – gwiazdą (Stella Maris) lub lilią. Papież okazał się jednak nieugięty w swoim wyborze i pozostał przy swoim starym znaku" – pisze na stronach KUL dr Edward Gigilewicz. Gdy dochodzi do zamachu na życie Jana Pawła II, obecni na miejscu Polacy, a następnie inni wierni zaczynają odmawiać Różaniec. – Byłaś mi Matką zawsze, a w sposób szczególny 13 maja 1981 r., kiedy czułem przy sobie Twoją opiekuńczą obecność... We wszystkim, co się wydarzyło, zobaczyłem – i stale będę to powtarzał – szczególną matczyną opiekę Maryi – mówił później sam Ojciec Święty. Z kolei pod koniec pontyfikatu, w 2002 roku, Jan Paweł II ustanowił pięć nowych tajemnic Różańca, Tajemnice Światła. Gdy papież odszedł w 2005 roku do domu Pana, żywota swego dokonał po zakończeniu Apelu Jasnogórskiego.

Film Sobierajskiego pokazuje te i wiele innych aspektów maryjnej duchowości i nauki Jana Pawła II, po drodze niejako oprowadzając nas po wielu miejscach związanych zarówno z samym Karolem Wojtyłą, jak i miejscami kultu i objawień Matki Bożej, w tym tak ważnych dla niego Gietrzwałdu i Fatimy. Poznajemy też szczegóły objawień, które – zwłaszcza objawienia fatimskie – tak mocno wpłynęły nie tylko na religijność papieża, lecz także na kierunki działania – do pewnego stopnia również działania polityczne – jego pontyfikatu. W opowieści pojawiają się też wątki z historii Polski, w której Matka Boża ma przecież swoje miejsce tak samo, jak znalazła je w życiu Karola Wojtyły – będącym przecież w całej swej wyjątkowości bardzo polskim losem. Dlatego też w filmie obok kapłanów i osób związanych z papieskim muzeum w Wadowicach wypowiada się prof. Jan Żaryn. „Maryja. Matka papieża" jest więc opowieścią zarówno o Maryi i Janie Pawle II, jak i polskiej duchowości, wreszcie o reformie spojrzenia Kościoła na ten aspekt religijności, której Wojtyła dokonał w czasie swego pontyfikatu. Jak czytamy w materiałach promocyjnych filmu: „«Maryja. Matka Papieża» [...] ukazuje wyraźnie, że duchowa droga św. Jana Pawła II wyrastała z głęboko zakorzenionej polskiej maryjności, z wiary narodu, który przez wieki zawierzał swoje losy Matce Bożej. Papież nie tylko z tej tradycji wyrósł, lecz także nadał jej nowy, uniwersalny wymiar, ukazując światu maryjność jako drogę zawierzenia, odwagi i nadziei".

ŻYCIE KAROLA WOJTYŁY Z MATKĄ BOŻĄ SPLECIONE JEST OD PIERWSZYCH SEKUND, OD NARODZIN, KTÓRYM TOWARZYSZYŁY WPADAJĄCE PRZEZ OKNO JEGO RODZINNEGO DOMU MODLITWY.

„MARYJA. MATKA PAPIEŻA" JEST OPOWIEŚCIĄ ZARÓWNO O MARYI I JANIE PAWLE II, JAK I POLSKIEJ DUCHOWOŚCI.

Tematyka filmu jest ważna również w dzisiejszych czasach, gdy słabnie nasza duchowa łączność z dziedzictwem Jana Pawła II, a jako wspólnota stajemy się coraz bardziej zatomizowani i pogubieni. Uznając pracę Sobierajskiego za bardzo potrzebną, nie mogę jednak nie zauważyć, że mam pewien problem ze stroną formalną jego dzieła. W ostatnim czasie miałem okazję zobaczyć wiele filmów o tematyce chrześcijańskiej, które posługiwały się dość nowoczesnym, żywym montażem i narracją. „Maryja. Matka papieża" jest na ich tle dziełem uderzająco zachowawczym. Poza dość ciekawymi przejściami między poszczególnymi wątkami, w których wykorzystano nawet dość skromnie sztuczną inteligencję ożywiającą stare zdjęcia, jest to klasyczny dokument oparty na powtarzającym się schemacie wypowiedzi kolejnych ekspertów przetykanych ujęciami przyrody i architektury istotnych dla opowieści miejsc. Zostaje pytanie, czy będzie to atut, czy obciążenie dla filmu, który może być zbyt tradycyjny w swej formie dla młodszej widowni. Z drugiej strony tematyka filmu jest jednak dość wymagająca i być może wszelkie realizacyjne fajerwerki wcale nie byłyby tu tak bardzo na miejscu. Myślę, że w zarysowanym na początku artykułu kontekście film trafić może na swoje pięć minut.

„Maryja. Matka Papieża", reż. Jan Sobierajski, dystrybucja Rafael Film, Polska 2026. S

eprasa.pl b1ccbc3081

KSIĄŻKA

Dwoje na falach historii

Rozmowa Feliksa Falka i Małgorzaty Niezabitowskiej „**Na wzburzonych falach**” swą premierę miała już kilka miesięcy temu. Wartość i atrakcyjność tej książki według wydawcy polegać ma na zderzeniu dwóch światów, jakie rzekomo reprezentują sobą rozmówcy. To nie do końca prawda, bo choć droga obojga zaczyna się w bardzo oddalonych od siebie miejscach, wstrząs historii porządnie miesza w kotle i od dawna oboje są już w tym samym świecie tej części inteligencji PRL, która płynnie przeistoczyła się w elity III RP. Świadomości społecznej, która wykuwała się na protestach Marca, by przeżywać drugą młodość na wiecach KOD.

Krzysztof Karnkowski

To świat zupełnie inny od świata naszych Czytelników, na pewno też od mojego. W życiu nie sięgnąłbym po tę książkę, gdyby nie fakt, że jeden z rozdziałów poświęcony jest Solidarności z lat 1980–1981 i pracy Małgorzaty Niezabitowskiej w redakcji „Tygodnika Solidarność” kierowanej wówczas przez Tadeusza Mazowieckiego. Już gdy jednak książka znalazła się w moich rękach, postanowiłem przeczytać całość i ku swemu zdziwieniu znalazłem tam dla siebie kilka ciekawych rzeczy, a także kilka interesujących obserwacji z pogranicza polityki, psychologii i medioznawstwa, którymi warto podzielić się z Czytelnikami.

W ŻYCIU NIE SIĘGNĄŁBYM PO TĘ KSIĄŻKĘ, GDYBY NIE FAKT, ŻE JEDEN Z ROZDZIAŁÓW POŚWIĘCONY JEST SOLIDARNOŚCI Z LAT 1980–1981.

Dwie rzeki

„Na wzburzonych falach” nie jest wywiadem rzeką, a dialogiem – rozmową dwojga znających się od kilkudziesięciu lat przyjaciół, którzy przemykają się wspólnie przez poszczególne okresy życia, czasem też zatrzymując się przy hasłach i ideach. Rozmowa toczy się w swoim tempie przez kolejne spotkania przy kawiarnianych stolikach, a co pewien czas pada w niej pytanie, czy to w ogóle ukaże się drukiem. Decyzję rozmówcy zostawiają sobie na koniec, choć nie wiem, ile tu rozterki, a ile kokieterii. Rozmów razem jest aż dwadzieścia cztery, różny jest ich ciężar, różna wymowa. Mamy fragmenty wspomnieniowe i te bardziej refleksyjne, gdy obok historii Falk i Niezabitowska dotknąć próbują natury rzeczy, miłości, małżeństwa i przyjaźni, wiary, polskości... Ponieważ startują z bardzo bliskich pozycji ideowych, nie muszą z nikim się w tej konwersacji spierać, pozwalają sobie na dużo więcej szczerości, odkrywają różnice swoich spojrzeń i biografii śmielej, niż gdyby czynili to w zderzeniu z kimś z innej strony barykady. Gdzie jednak jest ta druga strona?

Niezabitowska rodzi się w rodzinie ziemiańskiej, z antykomunistycznymi tradycjami i przekonaniami, wychowywana jest w dużym stopniu przez ludzi chcących przekazać jej okruchy świata, który z wojną zniknąć miał bezpowrotnie. Powojenna Polska przypomina o sobie na każdym kroku, codziennie pisząc na drzwiach mieszkania jej babci „Hrabini jeździ na świni”. Potem nie ma już babci, a Niezabitowska zostaje z ojcem, z którym relacje teraz są

eprasa.pl b1ccbc3081



Fot. Post Wydawnictwa LIRA / Facebook

raz dobre, raz złe, zależy to głównie od stanu jego życia uczuciowego. Jej mama umiera wcześnie, jeszcze przed kluczową dla wychowania młodej Małgorzaty babcią. Dziewczyna radzi sobie, uczy się, zaczyna snuć pierwsze plany o pisaniu, przechodzi przez szczeble edukacji, by dotrzeć przez nie do Marca 1968 roku.

Świat Falka zmienia się w inny sposób. Ojciec jest Żydem, komunistą, w nowej rzeczywistości radzi sobie dobrze, ma mieszkanie w jednej z lepszych dzielnic, Feliks trafia do szkoły z dziećmi partyjnych dygnitarzy. Nim przyjdzie marzec, na pewien czas z obiegu wyłącza go wypadek i długa rehabilitacja, wraca jednak do świata i do kolegów.

Ale nawet Marca nie traktuje jako przełomu w swoim życiu, choć traci na raty swe złudzenia wobec komunizmu. Żeni się i zaczyna pracę, na początek w charakterze grafika miesięcznika „Magazyn Polski”, kolorowego pisma drukującego przedruki ze światowej i krajowej prasy, jednego z tych osładzających trochę PRL-owską szarzyznę tytułów.

eprasa.pl b1ccbc3081

Od Marca do Sierpnia

W 1968 roku polityka bardziej wdziera się w życie Niezabitowskiej, choć to rodzina Falka wydaje się modelową ofiarą. Z kraju wyjeżdżają jego przyjaciele, on zostaje, mówi, że już wtedy czuł się bardziej Polakiem i jak Polak był traktowany. Marzec warunkuje odległą przyszłość Niezabitowskiej – gdy w czasie smuty po stanie wojennym i później zajmie się upamiętnianiem losów dawnych i współczesnych polskich Żydów, będzie to w dużym stopniu przedłużona w czasie reakcja, sprzeciw wobec nagonki, jaką zorganizowali na nich komuniści w tych ostatnich latach rządów Gomułki. Niezabitowska na studiach więcej kłopotów ma chyba jednak przez urodę i profesorów, którzy niekoniecznie spokojnie znoszą nowe mody nakazujące pokazywać nogi – zwłaszcza najpiękniejszym studentkom. Uroda nie pomaga w relacjach z kadrą naukową, natomiast pozwala zacząć zarabiać. W PRL, zwłaszcza ówczesnym, zawód modelki jest zajęciem niszowym i sprowadza się głównie do uczestnictwa w pokazach organizowanych przy okazji innych imprez: pokazów kinowych, bali, biesiad – tu splata się zawodowa aktywność Niezabitowskiej z artystyczną drogą Falka. Gdy bowiem ten postanawia zmienić artystyczną drogę i zająć się reżyserią, pierwszy wielki sukces odnosi z „Wodzirejem". Ten niewątpliwie wielki i ponadczasowy film pokazuje nam śniącego o większej karierze tytułowego zapiewajłę, granego przez Jerzego Stuhra, który dla nadania rozpędu swojej karierze gotów jest na każde świństwo. Pisze donosy, knuje intrygi, zdradza przyjaciela, śpi z podstarzałą weteranką imprez, a swą dziewczynę próbuje wepchnąć do łóżka szemranemu znajomemu. W tym świecie przebijają się tańce, śpiewy, komunistyczne festyny i bale, a gdzieś w tym wszystkim także i pokazy modelek. Choć „Wodzirej" osadzony jest w realiach PRL mocno i pewnie (obok głównej intrygi to też znakomity portret swoich czasów, pokazujący, jak żyli, pracowali i walczyli o przetrwanie Polacy niewiele ponad dwadzieścia lat po koszmarze II wojny światowej), pokazuje uniwersalne i trwające także dziś mechanizmy. Aż dziwne, że jeszcze nikt nie pokusił się o jego współczesne, korporacyjne odczytanie. Po drodze mamy jeszcze opowieści o studiach i typowych dla PRL kłopotach z przebiciem się z pierwszymi produkcjami, dużo jest też o trwającej aż do stanu wojennego współpracy z Andrzejem Wajdą w ramach Zespołu Filmowego „X", później rozgonionego przez komunistów.

> W 1968 R. FALK CZUŁ SIĘ BARDZIEJ POLAKIEM I JAK POLAK BYŁ TRAKTOWANY.

W „Tygodniku"

W czasie karnawału Solidarności Feliks Falk popiera „Tygodnik Solidarność", choć trochę z boku, a Niezabitowska trafia do jego redakcji. Gdy wszystko się zaczyna, ona jedzie do stoczni, a jemu komuniści puszczają na ekrany blokowany wcześniej film „Był jazz". Niezabitowska jest jeszcze w redakcji „Kultury", w której pomimo pewnej swobody panującej w piśmie musi zmagać się z redakcyjną cenzurą. Gdy trafia do „Tygodnika", cenzurą przejmować się już nie musi. Pisze artykuły i reportaże, czasem zaskakująco krytyczne wobec pewnych zjawisk stanowiących według niej i jej bohaterów kłopoty ówczesnej Solidarności. Niektórzy z kierownictwa związku nie są zadowoleni z krytyki, sam Mazowiecki też uległ w końcu kolegom ze związku i po trzecim artykule dał swojej dziennikarce szlaban. „W oblężonej twierdzy, a taką jest Solidarność, obrońcy zachowują pełną jedność. Na krytykę przyjdzie pora, a teraz dość". Wówczas Małgorzata Niezabitowska się obraziła, dziś zrozumieć tamtą sytuację pomaga jej Feliks Falk, a jemu... premier Donald Tusk. „Wiesz, ja w jakimś stopniu podzielam opinię Mazowieckiego. Kojarzy mi się ze współczesną sytuacją. Kiedy czytam lub słyszę teraz dziennikarzy mediów związanych z naszą stroną krytykujących obecny rząd Tuska, który po ośmiu latach musi naprawiać wszystkie draństwa i kradzieże wyrządzone przez rząd PiS, szlag mnie trafia. I to po dziewięciu miesiącach od odzyskania władzy. Ja wiem, że to się różni od krytyki lokalnych struktur Solidarności, lecz drukowana w wielonakładowym piśmie taka opinia się uogólnia" – tłumaczy. Po latach Niezabitowska oskarżana była o kontakty z SB w czasie pracy w „TS", jednak sąd tego nie potwierdził, a że ona sama nie chce do tego wracać w recenzowanej książce,

> NIEZABITOWSKA WYSYŁA NA ZACHÓD ZDJĘCIA Z PACYFIKOWANEJ POLSKI, ZE SŁUŻBAMI GRAJĄC NICZYM RASOWY SZPIEG.

eprasa.pl b1ccbc3081

temat zostawiam na inną okazję. Wspomnę natomiast, że w opowieści o „S" nie pojawia się żadne niemiłe salonowi nazwisko. Nie ma w niej Andrzeja Gwiazdy, nie ma Anny Walentynowicz, jedynym bohaterem negatywnym jest zbyt radykalny podczas I zjazdu Jan Rulewski. Historia pisze się na nowo.

Reżyser i kobieta szpieg

Gdy przychodzi stan wojenny oboje zostają w kraju, choć w sumie nie muszą. Falk próbuje organizować na nowo możliwości robienia filmów, Niezabitowska współpracuje z „Tygodnikiem Powszechnym", w którym zresztą próbuje – bez skutku – przepchnąć wywiad ze swoim przyjacielem o kondycji i możliwościach kina w tym ponurym czasie. Rozmowę zdejmuje cenzura, ukazuje się jednak w tej książce, będąc jednym z ważniejszych jej fragmentów. On tworzy, ona wysyła na Zachód zdjęcia z pacyfikowanej Polski, ze służbami grając niczym rasowy szpieg. W czasie mocnej blokady informacji były to bardzo potrzebne działania. Czas mija na wydarzeniach zwykłych, ale i czasem heroicznych. Jednak dramat zaczyna się od akcentu na swój sposób komicznego: jeden z niemieckich tygodników kilka dni przed 13 grudnia urządza Lechowi Wałęsie świąteczną, pogodną sesję foto do druku w numerze na Boże Narodzenie – cóż bowiem może się po drodze stać! Czas mija, Falk kręci filmy, Niezabitowska spisuje historie polskich Żydów, aż przychodzi rok 1989, gdy pani Małgorzata ma swoje pięć minut. Uchodząca za piękność dziennikarka przy Mazowieckim w roli premiera zastąpić ma symbol brzydoty i kłamstwa poprzedniej władzy – Jerzego Urbana. Niestety, choć premier i rząd chcą jak najlepiej, naród niespecjalnie się na tym poznaje, w efekcie czego Mazowiecki nie zdąży już przejść do planowanej według rzeczniczki drugiej fazy rządzenia – polityki bardziej prospołecznej, łagodzącej wcześniejszy szok.

Niemłodość walcząca

Ostatnie akordy tej historii ciekawiej wypadają według mnie po stronie Falka, który radzi sobie w nowej rzeczywistości, łącząc film z tworzeniem biznesowej podstawy dla swojej pracy. Robi kolejne filmy, w tym wstrząsającą „samowolkę" pokazującą patologię pełnej przemocy i fali armii pierwszych lat wolnej Polski. Później jest jeszcze obsypany nagrodami „Komornik", poruszający obraz bezduszności i opamiętania, lecz także bezsilności jednostki wobec drapieżnego, zachłyśniętego kapitalizmem państwa. Jest też miniaturka „Krótka historia jednej tablicy", nakręcona w 2005 roku do telewizyjnej składanki „Solidarność, Solidarność" gorzka opowieść utrzymana w konwencji animacji poklatkowej – tu Falk wraca, jak się zdaje, do czasów, gdy zajmował się jeszcze bardziej grafiką niż filmem. Karierę kończy „Joanną" krytykowaną przez prawicowe media za stereotypowe ukazanie relacji Polaków i Żydów w czasie wojny. Niezabitowska tymczasem prowadzi kolejne biznesy, angażuje się w pracę Muzeum Historii Żydów Polskich Polin, walczy z IPN, słowem – jej świat nie ma już nic wspólnego z tym, co na co dzień zajmuje moją uwagę. Pomimo tej refleksji książkę wciąż polecam, choć wiem, że mało kto z szeroko pojętej konserwatywnej strony po nią sięgnie. Swą zapiekłością dbają o to sami autorzy. Gdy kończę pisać ten tekst, wybitny reżyser publikuje swoją refleksje po antyprezydenckiej demonstracji zwołanej przez KOD w proteście przeciw zawetowaniu ustawy o SAFE. Do tej opowieści trudno wyobrazić sobie puentę lepszą, trudno też wyobrazić sobie puentę smutniejszą.

„Gdzie są chłopcy z tamtych lat? Byłem przed Pałacem. Było więcej ludzi niż przedwczoraj z Klubów „Gazety". Ale pamiętam ten protest przed vetem Dudy dla ustaw Ziobry. Były dziesiątki tysięcy. Chyba czuli większą motywację. Niestety dzisiaj mało młodych, głównie starsi kombatanci z czasów PiS-owskich. Ale dobrze, że KOD ożył. Pięknie mówiła Joasia Szczepkowska, którą kochają ludzie. [...] Żałuję bardzo, że nie zostałem zaproszony na podium. Powiedziałbym tak: chciałbym, żeby rząd nie bał się przekraczać granic, żeby słuchał profesorów Sadurskiego i Zolla. I żeby sobie przypomniał Falandysza".

UCHODZĄCA ZA PIĘKNOŚĆ DZIENNIKARKA PRZY MAZOWIECKIM ZASTĄPIĆ MA SYMBOL BRZYDOTY I KŁAMSTWA – JERZEGO URBANA.

Małgorzata Niezabitowska, Feliks Falk, „Na wzburzonych falach", wyd. Lira, Warszawa 2025. S

eprasa.pl b1ccbc3081

Czytam, chadzam, doradzam, odradzam

Wojciech Stanisławski





Srebro i sepia

Historia jest na szczęście pełniejsza i bardziej złożona niż jakikolwiek propagandowy obraz.

Nie dowiedziałbym się o nim, gdyby nie ta wystawa. Jeszcze jedna kreska do coraz bardziej złożonego obrazu II Rzeczypospolitej: czy nie po to także są muzea?

Encyklopedie zmuszone są zakładać wszystkim przyciasny kołnierzyk dat i profesji, więc i o Aleksandrze Minorskim (1906–1982) przeczytać można: „fotograf, operator filmowy i publicysta". Fotograf – zgoda, ogromna większość pokazanego w Muzeum Warszawy dorobku to współczesne kopie z jego negatywów, piękne, odrobinę przymglone odbitki srebrowo-żelatynowe albo zdjęcia reprodukowane w przedwojennej prasie i okładkowe kolaże. Ale cała reszta? Operator filmowy – zgoda, nakręcił, już w PRL, kilka krótkich i średnich metraży o pracy fizycznej, zbyt wysmakowanych plastycznie, żeby zyskały większy rozgłos jako propagandowa pochwała „robotniczego trudu". Publicysta? Czy wypada określić takim terminem człowieka, który na łamach „Wiadomości Literackich" tak pisał w krótkim komentarzu do swojej sesji zdjęciowej z Bielan?

„Ogromne plany rzeki zadyszała błękitna mgła. W dalekim planie ciągnie się kilometrami na prawo wymalowane światłem miasto. Słońce uderzyło z boku ściany, wycięło bryłki domów, wydobyło szczególiki: kominy, okna. Trójwymiarowość.

Na lewo słońce znajdujące się na wprost zjada blaskiem widok: czarne kontury i płaskie śniegi. Dwuwymiarowość.

Rzeka w tym miejscu, pod miastem, też płaska. Blacha żelazna. Ale na prawo blacha się wygina ku nam i staje się współmierną bryłom domów".

Do tego – koncepcje reżyserskie i scenograficzne, nowatorskie badania, mieszczące się gdzieś na pograniczu socjologii kina i psychologii dziecięcej, badania, dla których w tym czasie nie było jeszcze ani nazwy, ani odbiorcy. Praca w fabryce i dokumentowanie powstających osiedli robotniczych, pomysły urbanistyczne i polityczne, kolaże i transparenty. Po prostu – jeden z tych dwudziestokilkuletnich talentów, których tyle było w II RP.

Tak, pewnie właśnie zapatrzenie w dzieci – „dzieci ulicy", dzieci odrabiające lekcje w ciemnym kącie, chore dzieci leżące na barłogu przy osmolonej kozie – rodziło w nim gniew. Ten gniew zaprowadził go do grupy plastycznej „Czapka Frygijska", mocno lewicującej, inspirowanej, a może i dyskretnie prowadzonej, przez KPP, na „jednolitofrontowe" manifestacje pierwszomajowe. Zastanawiając się uczciwie nad II RP, nie można przemilczać tej mieszanki współczucia i gniewu, która prowadziła niektórych wychowanków Gajowca w stronę komunizmu. Te same emocje słychać w wersach Czechowicza („jeden głód kaszle szczeka/drugi głód palce łamie") i Miłosza („Boże, miej litość nad Levallois"), w reportażach Boguszewskiej i w sprawozdaniach głównej inspektor pracy w II RP Haliny Krahelskiej. To gniew sprawiedliwy – nawet jeśli wykorzystywali go partyjne „funki" i sowieccy agenci.

Gniew Minorskiego nigdy nie stał się propagandową, cienką blaszką: rodził się ze współczucia. I lekko przymglone fotogramy nie są sowiecką propagitką, pokazują dzieci: obdarte na pastwisku, leżące nieruchomo na sienniku po wyrzuceniu całej rodziny na bruk; śpiące snem na pozór anhellicznym (choć chyba gruźliczym) na dobroczynnych koloniach letnich; dotykające tabliczek

eprasa.pl b1ccbc3081

Braille'a w Laskach. Nieświadome jeszcze swojej kiły wrodzonej, biegające w ogródku Domu Matki i Dziecka im. ks. G.P. Boduena, podczas gdy kornet pilnującej ich zakonnicy kwitnie i jarzy się jak piwonia.

Nie mam żadnego problemu ani z pokazaniem na tej wystawie zdjęć bieda-domów, łachmanów, „polskich bezprizornych", tak odbiegających od ułańsko-COP-owskiego wizerunku przedwojennej Polski, ani z komunizowaniem młodego Minorskiego, ani nawet z jego entuzjastycznymi zdjęciami pochodów pierwszomajowych lat 60. i 70., ani fascynujących go nowych osiedli. Był dzieckiem swojego czasu, sformatowały go – jak każdego – doświadczenia młodości.

Jeśli mam problem, to z obecną na tej wystawie perswazyjnością, „interwencją", tak nieodzowną, zda się, w przekonaniu kolektywu kuratorskiego Muzeum Warszawy, że w moich oczach chwilami niewiele różni ją od topornej dydaktyki. Ta wystawa to nie tylko retrospektywa zapomnianego trochę fotografika, który w II RP upominał się o ubogich i łaknących sprawiedliwości, zamiast trzaskać fotosy gwiazdkom filmowym. Wydaje mi się, że w intencji kuratorów ma być „demaskacją". „O, tak wyglądała NAPRAWDĘ przedwojenna Warszawa!" – perswaduje w pierwszej sali kolejnym zwiedzającym obdarzony nieco zbyt tubalnym głosem przewodnik, zapraszając ich na świetny technicznie pokaz: animowany przy użyciu AI, „ożywiony" montaż fotogramów Minorskiego pokazujących najbiedniejsze zaułki Powiśla i Woli.

Warszawa, czy naprawdę trzeba to pisać, wyglądała i tak, i tak: jarzące się neony Nowego Światu i Wrząca Górka, brunatna od pluskiew. Pisano o tym i krzyczano przed wojną, a zdjęcia osiedli robotniczych, publikacji, kolonii i szkół pokazują, że Minorski nie był w II RP osamotniony ani ze swoim gniewem, ani ze swoją pracą. Po wojnie przez ćwierć wieku pisano wyłącznie o (jak podrwiwał Antoni Słonimski) „koszmarnych czasach sanacji", by gdzieś w latach 70. doszło do lekkiego propagandowego poluzowania śruby (komedie i kryminały retro, aż po genialny „Vabank"). W niepodległej Polsce po 1990 roku usiłowano odzyskać dobre imię II RP, czasem ze zbyt dużym przytupem – na co reakcją jest dzisiejsze „demaskatorstwo" Muzeum zapraszającego na seans o marymonckich czworakach.

Istnieje jednak, na szczęście, historia – pełniejsza i bardziej złożona niż jakikolwiek propagandowy obraz. Patrząc na fotkę z manifestacji z roku 1936, gdzie obok Minorskiego maszeruje jego kolega plastyk Franciszek Bartoszek, podczas okupacji – członek sztabu Gwardii Ludowej, zabity przez Niemców w maju 1943 roku – myślałem o jego żonie Heddzie Bartoszek, doprowadzonej do obłędu podczas wielomiesięcznych przesłuchań w piwnicach MBP w latach 50., gdzie trafiła w ramach walk z „frakcją Gomułki". Orwo-wyblakłe zdjęcia z defilady pierwszomajowej w latach 70. można by zderzyć z ziarnistymi, zamazanymi fotogramami pierwszomajowych walk ulicznych z lat 80., a frazę Minorskiego piszącego z zachwytem



na granicy emfazy o „smukłych, białych blokach mieszkalnych" – z dziesiątkami pogardliwych słów o „domach z betonu", zdjęcia rodzin wysiedlanych przez kamieniczników można by zaś sproblematyzować (to technika wystawiennicza uwielbiana przecież przez kuratorów nowszej szkoły!) skromnym portretem Jolanty Brzeskiej.

W tym mieszaniu kadrów i czasów można by zresztą pójść o krok dalej. Może o dwa tysiące kroków, które dzielą Muzeum na Rynku od Galerii aTAK na Mazowieckiej, gdzie w nierównie skromniejszych wnętrzach pokazywane są sepiowe odbitki z odkrytych po wielu latach negatywów Jana Krzysztofa Kamińskiego.

Za późnego Gomułki – dwudziestokilkulatek, jak w Dwudziestoleciu Minorski. Mniej jeszcze chyba znany niż on, „człowiek osobny", wielu fascynacji i niewykorzystanych do końca talentów. W maju 1966 roku trafił na Jasną Górę, gdzie trwało właśnie „domknięcie" uroczystości milenijnych, całkowicie przemilczanych przez państwowe media.

Jego zdjęcia nie są tak świetne technicznie jak portrety Minorskiego: to migawki utalentowanego amatora, z wrodzonym wyczuciem smaku i równowagi. Czasem z fantastycznym ładunkiem reporterskim (kramy z dewocjonaliami, przyłapani gdzieś na uboczu zrelaksowani w słońcu biskupi, prezentujący całą galerię okularów przeciwsłonecznych!), czasem podniosłe (procesja z Obrazem), najmocniejsze w ukazywaniu twarzy: zamyślonych, zaciętych, mocnych.

Cieszy mnie możliwość odwiedzenia obu tych wystaw, napięcie, jakie rodzi się między tymi dwoma zestawami fotogramów: oskarżycielskich wobec nędzy II RP i dokumentującymi milenium przemilczane przez władze PRL (zasiadał w nich wówczas Tadeusz Gede, brat Kazimierza – malarza, kolegi Minorskiego, członka Brygad Międzynarodowych, który zginął w Hiszpanii w 1937 roku). Myślę sobie, że z tego napięcia rodzi się jakaś prawda nazywana historią.

„Aleksander Minorski. Fotografia to interwencja", 19.03 – 6.09. Muzeum Warszawy, kuratorka: Karolina Puchała-Rojek.

„Tysiąclecie Chrztu Polski w fotografiach Jana Krzysztofa Kamińskiego", 14.04 – 16.05. Galeria aTAK, kuratorzy: Antonina Grzegorzewska, Jerzy Wojciechowski.

eprasa.pl b1ccbc3081

CO W ZWIĄZKU

NSZZ Solidarność

MARCIN KRZESZOWIEC

„JSW potrzebuje ratunku”



Fot. M. Żegliński

Reprezentatywne organizacje związkowe działające w Jastrzębskiej Spółce Węglowej, w tym NSZZ „Solidarność”, wystosowały list otwarty do prezydenta, premiera i wszystkich pracowników spółki. Związkowcy przypomnieli w nim o Porozumieniu zawieszającym, które w lutym 2026 roku strona społeczna podpisała z zarządem JSW i które na okres dwóch lat ogranicza część świadczeń pracowniczych i tym samym obniża wynagrodzenia załogi.

„Zarząd JSW oraz Ministerstwo Aktywów Państwowych zobowiązały się zorganizować dla spółki finansowanie w wysokości około 3 miliardów złotych. Sytuacja spółki jednak nadal się pogarsza, zamiast ulegać poprawie. Nasze zobowiązanie zostało wdrożone natychmiast. Pracownicy ponieśli koszt od razu. Natomiast obietnica zorganizowania wspomnianego finansowania nie została wykonana – minął 31 marca 2026 r., czyli data wyraźnie określona w podpisanym Porozumieniu wykonawczym” – podkreślili związkowcy, dodając, że w tym czasie nastąpiło jedynie sprzedanie dwóch spółek córek JSW, z których pozyskano kilkaset milionów złotych.

Dodali, że prowadzone są rozmowy nad sprzedażą kolejnych zakładów, ale nie tak powinien wyglądać „plan ratunkowy”. „To wyprzedaż sreber rodowych niemająca nic wspólnego z zarządzaniem na miarę XXI wieku” – ocenili.

Ich zdaniem Zarząd i MAP nie koncentrują się dziś na odbudowie zdolności produkcyjnych i przyszłości JSW, ale na tym, jak spółka ma „przeżyć” z miesiąca z miesiąc. Napisali też, że firma straciła ponad dwa lata z powodu zatrudnienia nieskutecznej firmy doradczej.

Związkowcy skrytykowali ministerstwo, pisząc, że „mydli oczy opinii publicznej, próbując tłumaczyć brak obiecanych środków rzekomą «niebankowalnością» JSW, podczas gdy prawdziwym problemem pozostaje nieudolność w organizacji finansowania”. „Z obiecanych środków nie ma nawet grosza. Zamiast realnej pomocy mamy rozbiór spółki i wyprzedaż jej majątku” – podkreślili.

Przedstawiciele pracowników JSW wystosowali 5 żądań. Dotyczą one natychmiastowego zapewnienia JSW realnego finansowania płynnościowego i pomostowego, publicznego harmonogramu działań ratunkowych, wdrożenia instrumentów osłonowych dla pracowników, odrzucenia scenariuszy prowadzących do sanacji lub upadłości JSW, jeśli miałyby służyć obejściu zobowiązań wobec załogi i dalszej wyprzedaży strategicznych aktywów, a także „zakończenia politycznych targów kadrowych” wokół spółki.

eprasa.pl b1ccbc3081


Fot. M. Żegliński

„Otrzymaliśmy zapewnienie, że Polska Grupa Górnicza i Południowy Koncern Węglowy będą finansowane do końca roku. My natomiast będziemy utrzymywać pogotowie strajkowe, dopóki nie wpłyną środki na konta spółek”.

Bogusław Hutek, szef górniczej „S”, Region Śląsko-Dąbrowski, 20 kwietnia br.

„Dość pustych deklaracji. Dość propagandowych zapewnień. Dość politycznego handlu stanowiskami wokół spółki o znaczeniu strategicznym. JSW potrzebuje ratunku, a nie kolejnych nominacji z partyjnego klucza” – skwitowali.

PIELGRZYMKA DO WILNA

Zakończyła się pierwsza Pielgrzymka NSZZ „Solidarność” Regionu Mazowsze śladami bł. ks. Jerzego Popiełuszki do Wilna. Związkowcy wyruszyli w nią autokarami 17 kwietnia po Mszy Świętej odprawionej w kościele Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny w Białej Podlaskiej. Po Eucharystii udali się również na jedno z rond w Białej Podlaskiej, które właśnie zyskało imię bł. ks. Jerzego Popiełuszki.

Podczas trzydniowej pielgrzymki wierni modlili się w miejscach, w których przebywał kiedyś Patron Solidarności. Odwiedzili Świętą Wodę, Suchowolę, sanktuarium Matki Bożej Sejneńskiej oraz stolicę Litwy. W Wilnie wzięli udział we Mszy Świętej, złożyli kwiaty w kaplicy Matki Boskiej Ostrobramskiej i udali się na Cmentarz na Rossie, gdzie nawiedzili grób, w którym pochowano matkę Józefa Piłsudskiego i złożono serce Marszałka.

W Suchowoli pielgrzymi spotkali się z bratem bł. ks. Popiełuszki Józefem, a także przekazali tablicę upamiętniającą ich pielgrzymkę, która zostanie wmurowana w powstające muzeum Patrona Solidarności w Okopach. Przez całą pielgrzymkę wiernym towarzyszyli kapłani: ks. Stanisław Chodźko, ks. Adam Woźniak i ks. Krzysztof Gołębiewski.

BŁOGOSŁAWIONA NATALIO TUŁASIEWICZ, MÓDL SIĘ ZA NAMI

W rzeszowskich Ogrodach Bernardyńskich odsłonięto 19 kwietnia ławeczkę z rzeźbą upamiętniającą bł. Natalię Tułasiewicz – męczenniczkę z okresu II wojny światowej zamordowaną w niemieckim obozie koncentracyjnym w Ravensbrück i patronkę nauczycieli w Polsce.

Uroczystość miała podwójnie symboliczny charakter, ponieważ Rzeszów to rodzinne miasto błogosławionej Polki, a dodatkowo w tym roku przypada 120. rocznica jej urodzin.

Na miejscu obecni byli jej krewni, w tym Natalia Tułasiewicz-Wala, prezes Fundacji im. bł. Natalii Tułasiewicz, a także przedstawiciele władz miejskich, kuratorium oświaty oraz NSZZ „Solidarność” na czele z przewodniczącym oświatowej Solidarności Waldemarem Jakubowskim i szefem rzeszowskiej „S” Romanem Jakim.

Poświęcenia pomnika dokonał biskup Kazimierz Górny, a uroczystość poprzedziła Msza Święta w kościele farnym.

Ławeczka z rzeźbą przedstawiającą Natalię Tułasiewicz powstała z inicjatywy Komisji Międzyzakładowej NSZZ „Solidarność” Pracowników Oświaty i Wychowania w Rzeszowie. Dzieło z brązu wykonał krakowski artysta prof. Władysław Dudek.

M.K.

Kalendarium Solidarności

28.04.1989 – transmitowana jest pierwsza audycja Solidarności w Polskim Radiu;

29.04.1989 – zostaje powołane Prezydium Krajowej Komisji Wykonawczej NSZZ „S”, które tworzą: Bogdan Borusewicz, Zbigniew Bujak, Władysław Frasyniuk, Stefan Jurczak, Lech Kaczyński, Bogdan Lis, Jacek Merkel, Andrzej Milczanowski, Janusz Pałubicki, Alojzy Pietrzyk, Antoni Tokarczuk i Henryk Wujec;

2.05.1988 – w Stoczni Gdańskiej rozpoczyna się strajk, którego uczestnicy postulują m.in. przywrócenie zakładowej Solidarności, konieczność zwolnienia więźniów politycznych i przywrócenia do pracy osób zwolnionych oraz podwyżki. Wobec braku szerszego poparcia (protest popierają jedynie studenci Uniwersytetu Gdańskiego) strajk zostaje zakończony bez porozumień z władzami 10.05.1988 r.

eprasa.pl b1ccbc3081

„Przyjechała do Ciebie cała Solidarność”. Pożegnanie Kazimierza Grajcarka

Barbara Michałowska

Rodzina, mieszkańcy Międzybrodzia Bialskiego, przedstawiciele Kancelarii Prezydenta RP, delegacje Solidarności z całej Polski na czele z Piotrem Dudą, przewodniczącym Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność”, oraz setki pocztów sztandarowych w czwartek, 23 kwietnia, pożegnały Kazimierza Grajcarka, legendę Solidarności, wieloletniego przewodniczącego Rady Krajowego Sekretariatu Górnictwa i Energetyki NSZZ „Solidarność”.

Odznaczony Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski

Podczas uroczystości pogrzebowych śp. Kazimierz Grajcarek został odznaczony pośmiertnie „za wybitne zasługi w działalności społecznej i związkowej, za zaangażowanie na rzecz poprawy bezpieczeństwa i higieny pracy oraz godności ludzi pracy” Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski. Odznaczenie w imieniu prezydenta wręczył żonie Zmarłego Bogdan Kubiak, społeczny doradca Karola Nawrockiego.

„Zabiegał o wolną i sprawiedliwą Polskę”

Bogdan Kubiak odczytał również list, który prezydent skierował do uczestników uroczystości.

„Z głębokim żalem żegnamy dzisiaj wspaniałego Polaka, człowieka sumienia i wytrwałej służby. Kazimierz Grajcarek był patriotą i społecznikiem, który zło dobrem zwyciężał. Rozumiał, że dobrem nie mogą być wierność i konformizm, że – jak to ujął Cyprian Kamil Norwid – «nie trzeba kłaniać się okolicznościom, a prawdom kazać, by za drzwiami stały». Kazimierz Grajcarek z tą samą uwagą i siłą charakteru, z jakimi wykonywał pracę górnika i ratownika górniczego, zabiegał o wolną i sprawiedliwą Polskę, o godność i pomyślność rodaków” – napisał w liście Karol Nawrocki.

Prezydent przypomniał także drogę zawodową Kazimierza Grajcarka.

„Wzywał do szacunku dla ciężkiej, niebezpiecznej, a wciąż niezastąpionej pracy górników oraz przeciwko szaleństwom tzw. Zielonego Ładu. Piętnował nieudolność i niekompetencje rządzących” – przypomniał prezydent.

„Był człowiekiem Solidarności”

Tak się przyjęło, że jeżeli człowiek dużo się modli, to jest jakiś niepraktyczny, a jeżeli jest działaczem, to nie ma czasu na modlitwę. Śp. Kazimierz Grajcarek potrafił pogodzić jedno i drugie. Łączył pracę z działalnością związkową i społeczną, z wielką uwagą zabiegał przy tym o dom i rodzinę. Był człowiekiem Solidarności – usłyszeli z kolei żałobnicy w homilii w trakcie Mszy Świętej za duszę Zmarłego.

„Nie ma takich słów, które by opisały to, co czujemy”

Po Mszy Świętej w kościele św. Marii Magdaleny w Międzybrodziu Bialskim głos zabrał Piotr Duda, przewodniczący Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność”.

– Szczęść Boże, czcigodni księża, drodzy uczestnicy tej jakże dla nas smutnej uroczystości. Droga rodzino pogrążona w bólu, smutku i żałobie. Panie przewodniczący, drogi Kazimierzu. Nie ma takich słów, które by opisały to, co czujemy w naszych sercach, żegnając naszego kolegę, przyjaciela, działacza związkowego, ale przede wszystkim dobrego, ciepłego i kochanego człowieka. Gromadzimy się dzisiaj w tej świątyni, aby być z Kazimierzem i odprowadzić go w jego ostatniej ziemskiej drodze. Jesteśmy dzisiaj także po to, aby podziękować Kazimierzowi za jego piękne życie – powiedział Piotr Duda. – To wielki społecznik, człowiek, który zawsze znalazł czas dla drugiej osoby, który życie poświęcił rodzinie, ale także swojej ukochanej Solidarności. [...] Dzisiaj przyjechała do Ciebie cała Solidarność, aby podziękować Ci za Twoje całe życie. Za to, że już za życia byłeś legendą Związku – dodał. Podziękował także za lata aktywnej pracy na rzecz polskich pracowników w imieniu wszystkich struktur Solidarności.

– Dzisiaj są z Tobą sztandary, z których byłeś tak dumny. One są tu dzisiaj, aby Ci podziękować i się pokłonić. Z tym najważniejszym dla Solidarności sztandarem na czele, sztandarem MKS-u z wizerunkiem Jasnogórskiej Pani, do której Ty także pielgrzymowałeś – podkreślił przewodniczący. Podziękował również rodzinie Zmarłego za to, że wspierała go w czasie, gdy prowadził aktywność związkową.

eprasa.pl b1ccbc3081



Fot. M. Żegliński

– Byłeś dla mnie mentorem. Osobą, która prowadziła mnie za rękę w życiu związkowym. Dziękuję Ci za wszystko – dodał.

Po uroczystościach w kościele śp. Kazimierz Grajcarek został pochowany na miejscowym cmentarzu, dokąd został odprowadzony przez żałobników, poczty sztandarowe, orkiestry górniczą i strażacką, a także w asyście strażaków z OSP Międzybrodzie Bialskie.

Życiowa droga

Kazimierz Grajcarek urodził się 17 kwietnia 1952 roku w Międzybrodziu Bialskim k. Bielska-Białej. Ukończył ZSZ przy Zakładach Przemysłu Włókienniczego w Bielsku-Białej. W latach 1979–1990 i 1992–1993 pracował jako górnik i ratownik górniczy w KWK „Silesia" w Czechowicach-Dziedzicach.

Od września 1980 roku należał do Solidarności, był członkiem Komitetu Założycielskiego w KWK „Silesia", od stycznia 1981 roku był wiceprzewodniczącym KZ, a w lipcu 1981 roku został delegatem na I WZD Regionu Śląsko-Dąbrowskiego.

Od 13 grudnia 1981 roku był przewodniczącym TKZ w KWK „Silesia". W latach 1982–1989 kolportował prasę podziemną (m.in. „Tygodnik Mazowsze", „Solidarność Podbeskidzia"). W dniu 28 sierpnia 1982 roku został internowany i osadzony w Ośrodku Odosobnienia w Zabrzu-Zaborzu. 2 grudnia 1982 roku zwolniono go. 20 sierpnia 1988 roku zorganizował strajk, następnie pełnił funkcję przewodniczącego Komitetu Strajkowego w KWK „Silesia", a następnie TKZ.

Od 19 października 1988 roku był członkiem Regionalnej Komisji Organizacyjnej NSZZ „S" Regionu Podbeskidzie, od 22 lutego 1989 roku pełnił funkcję wiceprzewodniczącego Prezydium RKO ds. przestrzegania prawa i praworządności. W latach 1989–2018 był delegatem na WZD Regionu Podbeskidzie i KZD. W latach 1989–1992 był wiceprzewodniczącym Zarządu Regionu Podbeskidzie NSZZ „S".

W latach 1992–1995 był członkiem Krajowej Komisji Rewizyjnej, a od 1996 do 2018 roku – członkiem Komisji Krajowej NSZZ „S". W latach 1993–1998 pełnił funkcję wiceprzewodniczącego Rady Krajowej Sekcji Krajowej Górnictwa Węgla Kamiennego NSZZ „S". W latach 1998–2018 zaś był przewodniczącym Rady Sekretariatu Górnictwa i Energetyki NSZZ „S". Od 2018 roku przebywał na emeryturze, ale wciąż był aktywny jako związkowiec oraz komentator życia społecznego i gospodarczego. Był jednym z najbardziej zagorzałych przeciwników tzw. Zielonego Ładu i obrońcą przemysłu górniczego. W grudniu 2025 roku zaangażował się w obronę swego zakładu – Przedsiębiorstwa Górniczego „Silesia" w Czechowicach-Dziedzicach jako rzecznik górników prowadzących podziemny protest.

Od 1995 roku był członkiem, a w latach 1999–2010 prezesem Polsko-Amerykańskiego Stowarzyszenia na rzecz Bezpieczeństwa i Higieny Pracy.

eprasa.pl b1ccbc3081

– Franczyzobiorcy są przyciągani wizją sukcesu. Rzeczywistość bywa jednak zupełnie inna. Niestety, konsekwencje są często dramatyczne – od utraty majątku po załamania życiowe. W skrajnych przypadkach dochodzi nawet do samobójstw – mówi **Alfred Bujara** w rozmowie z **Barbarą Michałowską**.

Kiedy na franczyzie tracą wszyscy (poza dużymi sieciami)



Fot. M. Żegliński

– Panie Przewodniczący, niedawno opublikowano obszerny raport dotyczący franczyzy i jej wpływu na gospodarkę. Jakie są jego kluczowe ustalenia?

– Na początek warto podkreślić, że to opracowanie jest bardzo solidne i trudne do podważenia. Zostało przygotowane przez środowisko naukowe, profesorów z Uniwersytetu Warszawskiego, a więc ludzi, którzy podchodzą do tematu w sposób rzetelny i analityczny.

Raport pokazuje skalę problemu, jeśli chodzi o wpływy do budżetu państwa. Już na przykładzie jednego podatku – od hipermarketów – mówimy o stratach rzędu około 7,5 miliarda złotych rocznie. To ogromne pieniądze, które powinny zasilać budżet, a nie trafiają do niego z powodu konstrukcji systemu. W dobie kryzysu w służbie zdrowia i braku pieniędzy na leczenie Polaków to skandaliczne zaniedbanie.

Ale to tylko część obrazu. Raport wskazuje również na pogorszenie sytuacji pracowników – osoby zatrudnione w modelu franczyzowym zarabiają średnio o około 560 zł mniej niż w innych formach zatrudnienia. Do tego dochodzi problem utraty miejsc pracy. I trzeba podkreślić: te wyliczenia nie obejmują jeszcze wszystkich aspektów, takich jak podatki CIT czy pełnych skutków dla systemu ubezpieczeń społecznych. Niższe składki do ZUS to kolejne straty dla państwa, które dopiero trzeba dokładnie oszacować.

– Wspomina Pan o tzw. twardej franczyzie jako szczególnie problematycznej. Co to oznacza w praktyce?

– Mówimy o modelu, który w obecnym kształcie często prowadzi do nadużyć. I to na wielu poziomach – naszego państwa, pracowników, ale też samych franczyzobiorców.

W Polsce mamy poważny problem systemowy: nie istnieje ustawa regulująca franczyzę, nie ma nawet jej jednoznacznej definicji prawnej. Wszystko opiera się w zasadzie na ogólnych przepisach Kodeksu cywilnego. To powoduje ogromną asymetrię – silne sieci handlowe narzucają warunki, a pojedynczy przedsiębiorca jest w dużo słabszej pozycji. Na przykład muszą podpisać weksel in blanco, który może wywołać natychmiastowe konsekwencje finansowe przy rozliczeniu.

Franczyzobiorcy są często przyciągani wizją sukcesu – słyszą, że będą „na swoim", że staną się biznesmenami, że będą mogli pozwolić sobie na wyższy standard życia, kredyt na samochód, wakacje. To działa szczególnie na młodych ludzi, którzy chcą szybko wejść na rynek.

Rzeczywistość bywa jednak zupełnie inna. Umowy są skomplikowane, pisane drobnym drukiem, trudne do zrozumienia nawet dla osób z doświadczeniem. Zdarzały się sytuacje, że przy podpisywaniu umowy nie dopuszczano prawnika,

eprasa.pl b1ccbc3081



co już samo w sobie powinno budzić poważne wątpliwości.

– Czyli problem dotyczy nie tylko pracowników, ale też samych franczyzobiorców?

– Zdecydowanie tak, i to jest wątek często pomijany. Franczyzobiorcy są dużą grupą osób, które w praktyce ponoszą ogromne ryzyko.

Po zakończeniu działalności często okazuje się, że pojawiają się dodatkowe zobowiązania – na przykład związane z rozliczeniami VAT i tzw. fakturami korygującymi. Procedury są bardzo skomplikowane, a odpowiedzialność finansowa spada na nich. W efekcie wielu ludzi traci dorobek życia.

To nie są pojedyncze przypadki. Mówimy o zjawisku, które dotyka tysięcy osób. Niestety, konsekwencje bywają dramatyczne – od utraty majątku po załamania życiowe. W skrajnych przypadkach dochodzi nawet do samobójstw. To pokazuje, że nie mamy do czynienia tylko z problemem gospodarczym, ale również społecznym.

– Wspomniał Pan o działaniach na poziomie europejskim. Jak Polska wypada na tle innych krajów?

– Niestety bardzo słabo. Na forum Europejskiej Konfederacji Związków Zawodowych doprowadziliśmy do powstania ekspertyzy porównawczej dotyczącej warunków prowadzenia działalności franczyzowej w Europie. Z raportu wynika, że Polska znajduje się na szarym końcu zestawienia. Model funkcjonujący u nas jest jednym z najmniej korzystnych – zarówno dla pracowników, jak i dla przedsiębiorców.

Dlatego podejmujemy działania na poziomie międzynarodowym. Przygotowywane są rekomendacje dla Komisji Europejskiej i europarlamentarzystów. Chodzi o wypracowanie rozwiązań systemowych, które pozwolą uregulować franczyzę w skali całej Unii Europejskiej.

W POLSCE MAMY POWAŻNY PROBLEM SYSTEMOWY: NIE ISTNIEJE USTAWA REGULUJĄCA FRANCZYZĘ, NIE MA NAWET JEJ JEDNOZNACZNEJ DEFINICJI PRAWNEJ.

– Czy jednak sama franczyza jako model biznesowy jest problemem?

– Nie, sama franczyza nie jest z natury zła. To może być uczciwy i efektywny model prowadzenia działalności. Problemem jest sposób jej funkcjonowania w Polsce – brak regulacji i nadużycia, które z tego wynikają.

eprasa.pl b1ccbc3081

Widzimy to bardzo wyraźnie na przykładzie dużych sieci handlowych takich jak Carrefour. Kilka lat temu dochodziło tam do przekazywania sklepów – szczególnie średniego formatu – w ręce franczyzobiorców. Wraz z tym pracownicy przechodzili do nowych pracodawców, ale już na gorszych warunkach.

Dlaczego? Bo franczyzobiorca często po prostu nie ma środków, żeby utrzymać standardy zatrudnienia znane z dużych sieci, które i tak nie są idealne. Sam funkcjonuje pod presją kosztów i zobowiązań. W efekcie mówi pracownikom: „Nie będzie związków zawodowych, nie będzie funduszu socjalnego, bo mnie na to nie stać".

– Czy są konkretne przykłady takich sytuacji?

– Tak, i one dobrze pokazują skalę problemu. Jednym z nich jest przypadek sklepu należącego do dużej sieci w Kielcach.

Pracownicy przez dłuższy czas nie otrzymywali wynagrodzeń. Znaleźli się w dramatycznej sytuacji – trzeba było utrzymać rodziny, opłacić rachunki. W końcu zdecydowali się sprzedać towar ze sklepu i podzielić się utargiem, żeby przetrwać. Z punktu widzenia prawa był to czyn zabroniony, ale pokazuje on, do jakiej desperacji mogą doprowadzić takie sytuacje.

W tym konkretnym przypadku sieć zachowała się odpowiedzialnie – uregulowała zaległości i przejęła sklep, uznając, że franczyzobiorca nie radzi sobie z prowadzeniem działalności. Ale to raczej wyjątek niż standard.

– Jakie działania są dziś najpilniejsze?

– Przede wszystkim potrzebujemy jasnych i kompleksowych regulacji prawnych. To dotyczy zarówno Polski, jak i poziomu unijnego.

Konieczne jest wprowadzenie przepisów, które zdefiniują, czym jest franczyza, zabezpieczą interesy franczyzobiorców, zagwarantują minimalne standardy dla pracowników oraz zwiększą przejrzystość umów i ograniczą możliwość nadużyć.

Równolegle zabiegamy o stworzenie dyrektywy unijnej dotyczącej franczyzy. To proces długofalowy – nie rozwiąże wszystkich problemów od razu, ale może wyznaczyć kierunek zmian i uporządkować rynek w całej Europie.

Dziś najważniejsze jest to, by o tym problemie mówić i by zainteresowali się nim decydenci. Bo mówimy o zjawisku, które dotyka tysięcy ludzi – przedsiębiorców, pracowników i całego systemu gospodarczego.

FRANCZYZOBIORCA CZĘSTO NIE MA ŚRODKÓW, ŻEBY UTRZYMAĆ STANDARDY ZATRUDNIENIA ZNANE Z DUŻYCH SIECI. SAM FUNKCJONUJE POD PRESJĄ KOSZTÓW I ZOBOWIĄZAŃ.

Alfred Bujara – przewodniczący Rady Krajowego Sekretariatu Handlu, Banków i Ubezpieczeń NSZZ „Solidarność", orędownik wolnych niedziel w handlu i uczciwych zasad dotyczących franczyzy.

RYSUJĘ, CO MYŚLĘ WASIUKIEWICZ



eprasa.pl b1ccbc3081

PRAWO

„Always online” – czy prawo pracy nadąża za realiami PRACY ZDALNEJ I HYBRYDOWEJ?

W dobie pracy zdalnej i hybrydowej coraz częściej spotykam się z oczekiwaniem, że pracownik pozostaje „w kontakcie” również poza standardowymi godzinami pracy. Wiadomości służbowe po godzinach, szybkie odpowiedzi na e-maile czy dostępność na komunikatorach stały się w wielu branżach **codziennością**. Zastanawiam się, czy w takiej sytuacji obowiązujące przepisy rzeczywiście chronią czas pracy i odpoczynku pracownika, czy też pozostawiają zbyt dużą swobodę pracodawcom?

Tomasz Oleksiewicz, radca prawny

Choć model pracy uległ znaczącej zmianie, podstawowe zasady prawa pracy pozostają niezmienne. Kodeks pracy przewiduje normy czasu pracy oraz gwarantuje pracownikowi prawo do odpoczynku dobowego i tygodniowego. W praktyce oznacza to, że pracodawca nie powinien oczekiwać wykonywania obowiązków służbowych poza ustalonym czasem pracy, a kontakt w tym czasie powinien mieć charakter wyjątkowy. Szczególne znaczenie ma tutaj rozróżnienie między pozostawaniem w dyspozycji pracodawcy a faktycznym wykonywaniem pracy, nie każda aktywność po godzinach będzie formalnie uznana za pracę, choć może rodzić określone skutki prawne. W kontekście pracy zdalnej i hybrydowej pojawia się jednak praktyczny problem egzekwowania tych zasad. Granica między życiem zawodowym a prywatnym bywa mniej wyraźna, a narzędzia cyfrowe umożliwiają stały kontakt z pracownikiem. W efekcie dochodzi do sytuacji, w których pracownik faktycznie wykonuje czynności służbowe poza godzinami pracy, często bez formalnego polecenia czy odpowiedniej rekompensaty. W takich przypadkach istotne znaczenie ma możliwość wykazania, że doszło do pracy w godzinach nadliczbowych, co może rodzić obowiązek udzielenia czasu wolnego od pracy lub wypłaty dodatkowego wynagrodzenia. Z punktu widzenia przepisów kluczowe jest także odpowiednie uregulowanie zasad pracy zdalnej w umowie o pracę, regulaminie lub porozumieniu między stronami. Dokumenty te powinny określać m.in. zasady komunikacji, dostępności pracownika oraz sposób rozliczania czasu pracy. Brak jasnych regulacji może prowadzić do nieporozumień i sporów dotyczących tego, czy określone czynności były wykonywane w ramach obowiązków pracowniczych, czy już poza nimi. W praktyce pracownik, który uważa, że jego czas pracy jest naruszany, może dochodzić swoich praw, powołując się na przepisy dotyczące norm czasu pracy oraz prawa do odpoczynku. W razie sporu znaczenie będą miały dowody potwierdzające rzeczywisty zakres wykonywanych obowiązków, w tym korespondencja służbowa czy ewidencja czasu pracy. Warto jednak pamiętać, że ciężar wykazania nadgodzin oraz ich związku z poleceniem pracodawcy może w konkretnych przypadkach stanowić istotne wyzwanie dowodowe. To wszystko oznacza, że prawo pracy co do zasady zapewnia ochronę czasu pracy także w realiach pracy zdalnej i hybrydowej, jednak praktyka pokazuje, że granice te nie zawsze są wyraźne. Rosnąca dostępność technologii oraz zmiana modelu wykonywania pracy powodują, że coraz większe znaczenie ma nie tylko sama treść przepisów, ale również sposób ich stosowania oraz organizacja pracy przez pracodawcę. To właśnie te elementy decydują o tym, czy czas pracy pracownika jest realnie respektowany w erze „always online”. S

PYTANIA DO EKSPERTA

Pytania do naszego eksperta prosimy słać na adres **redakcja@tygodniksolidarnosc.com** (w tytule wiadomości należy wpisać „**prośba o poradę prawną**”) lub listownie na adres: „Tygodnik Solidarność”, ul. Prosta 30, 00-838 Warszawa. Redakcja zapewnia anonimowość nadawcy.

Pytanie powinno być napisane w sposób zwięzły i dotyczyć jednego problemu.

eprasa.pl b1ccbc3081



IV Forum Młodych NSZZ „Solidarność”

Marcin Krzeszowiec

Cieszę się, że podejmujecie tego rodzaju wyzwania, że się spotykacie, że jesteście naszą solidarnością w Solidarności. Ja jestem silny waszą siłą. Drzwi się otwierają nie dlatego, że nazywam się Piotr Duda, ale dlatego, że jestem szefem najsilniejszego związku zawodowego w Polsce. Jeżeli druga strona, czyli władza, będzie to w taki sposób odbierała, to te drzwi będą przed nami otwarte i będziemy mogli o wiele szybciej wiele problemów rozwiązać dla dobra pracowników – tymi słowami Piotr Duda, przewodniczący NSZZ „Solidarność”, zwrócił się do młodych związkowców, którzy

eprasa.pl b1ccbc3081



Fot. arch. „TS”

od 16 do 17 kwietnia przebywali w Spale.

To właśnie w tej miejscowości, w należącym do Związku ośrodku Reset, odbyła się tegoroczna 4. edycja Forum Młodych NSZZ „Solidarność”. Jest to cykliczne wydarzenie organizowane raz do roku dla młodych działaczy zrzeszonych w NSZZ „Solidarność”, na którym można wymienić się doświadczeniami i poszerzyć swoją wiedzę.

Wydarzenie poprzedziło Walne Zebranie Delegatów Krajowej Sekcji Młodych, na którym przeprowadzono wybory uzupełniające. Nowymi członkami Rady KSM zostali: Jakub Jezierski, przewodniczący Regionalnej Sekcji Młodych NSZZ „S” z Ziemi Łódzkiej, oraz Jerzy Wojciechowski, maszynista w PKP Intercity. Ponadto do składu komisji rewizyjnej dołączył Dawid Mikulski pracujący na co dzień w Kopalni Węgla Brunatnego „Turów”.

Delegaci przegłosowali również stanowisko w sprawie limitu wieku osób funkcyjnych w strukturach Sekcji.

Krajowa Sekcja Młodych chciałaby, aby limit ten wynosił 35 lat. Stanowisko nie ma charakteru wiążącego i stanowi jedynie propozycję. Aby zmiana weszła w życie, potrzebna jest zgoda Krajowego Zjazdu Delegatów NSZZ „Solidarność”.

W dwudniowym programie Forum Młodych zaplanowano szkolenia, które poprowadzili przedstawiciele MOZ NSZZ „S” Pracowników Sądownictwa i Prokuratury: przewodnicząca Edyta Odyjas, Dagmara Ogórkowska i Dariusz Kadulski, a także Ksenia Ulanowicz-Sienkiel, kierownik Biura Rozwoju i Promocji śląsko-dąbrowskiej Solidarności. Z kolei panel pt. „Narzędzia oddziaływania w miejscu pracy i w politykach publicznych” prowadził dr Krzysztof Hus z Uniwersytetu Ekonomicznego w Katowicach.

– Forum Młodych zmienia się co roku. Wszystko zależy od oczekiwań członków naszej Sekcji, ale już dziś widzę potrzebę rozszerzenia tej formuły. W Wielkiej Brytanii takie szkoły protestu trwają dwa lata i obejmują bardzo duży zakres materiału: od wiedzy teoretycznej i biurokratycznej, przez rozwijanie kompetencji miękkich, po zarządzanie zespołem. Musimy zastanowić się w strukturach Solidarności, czy jest możliwe – może w ramach projektu europejskiego – aby również otworzyć takie choćby roczne studium w formie kształcenia uczelnianego – powiedziała nam przewodnicząca Krajowej Sekcji Młodych NSZZ „S” Alicja Skowron.

Urozmaiceniem zajęć była gra terenowa, której zasadnicza część odbywała się w pobliskim lesie. Młodzi związkowcy szukali tam wskazówek, kopert z zadaniami i gromadzili przedmioty niezbędne do zorganizowania manifestacji. W głośnej demonstracji domagali się, aby rzeka Pilica płynęła w jeden dzień tygodnia w drugą stronę. Swoje hasło „W czwartek Pilica na odwrót” wypisali na transparencie i skandowali, dmąc w wuwuzele, na krótko przed nastaniem ciszy nocnej. Żeby było jasne – postulat był tylko częścią gry i nie miał nic wspólnego z Sekcją Młodych.

Przewodnicząca Alicja Skowron stwierdziła, że Szkoła Protestu to ważna i potrzebna inicjatywa z powodu postępującej dezindustralizacji.

– Wygaszanie produkcji, likwidacja miejsc pracy, przenoszenie zakładów z Polski do krajów Trzeciego Świata, głównie Indii, gdzie koszty pracy są niższe – to rodzi konieczność zawalczenia o nasze miejsca pracy i o naszą przyszłość. Musimy przygotować się na to, że być może przyjdzie nam zmierzyć się z ogromnym kryzysem, który odbije się zarówno na nas, na naszych rodzinach, jak i na kolejnych pokoleniach. Nie jest przypadkiem, że tego samego dnia, kiedy rozpoczęły się Szkoła Protestu i Forum Młodych, obradował też Sztab Akcji Protestacyjnej NSZZ „Solidarność”. Młodzi związkowcy widzą, że kompetencje i umiejętności potrzebne do organizacji protestów będą po prostu niezbędne dla działania w ruchu związkowym – podkreśliła szefowa Krajowej Sekcji Młodych NSZZ „Solidarność”.

eprasa.pl b1ccbc3081

Stabilność zatrudnienia
jednym z fundamentów silnego państwa

O reformie prawa pracy przez **pryzmat problemów** rynku pracy rozmawiano podczas ubiegłotygodniowego posiedzenia plenarnego Rady Dialogu Społecznego.

Barbara Michałowska

Dyskusja koncentrowała się na problemach rynku pracy i rozwiązaniach prawnych, które mają te problemy zlikwidować. Prof. Jacek Męcina (Konfederacja Lewiatan) mówił o działaniach w ramach zespołu pracującego nad kierunkami reformy prawa pracy.

„Walka o fundamentalne wartości”

Następnie w toku dyskusji z ramienia Solidarności wypowiadał się Andrzej Kuchta, przewodniczący NSZZ „Solidarność” w PZL Świdnik.

Przewodniczący podkreślił, że zmiany w prawie są potrzebne, jednak kierunek tych zmian w większości nie wynika niestety z własnej inicjatywy władz pań-



Fot. M. Żegliński

eprasa.pl b1ccbc3081

stwowych, podyktowanej poczuciem odpowiedzialności za rynek pracy i troską o jego jakość, ale wymogami wdrożenia dyrektyw Unii Europejskiej.

– Reforma prawa pracy, nad którą pracujemy, nie może być jedynie technicznym projektem przepisów. Dla nas, ludzi pracy, jest to walka o fundamentalne wartości – o bezpieczeństwo i stabilność zatrudnienia. Dzisiejszy rynek pracy oferuje elastyczność, ale zbyt często odbywa się to kosztem pracownika. Nadużywane są kontrakty B2B tam, gdzie faktycznie powinien istnieć stosunek pracy. Nie jest to przejaw nowoczesności, lecz ucieczka od odpowiedzialności – podkreślił przewodniczący Kuchta.

– Dostrzegamy potrzebę cywilizowania rynku pracy i walki z nadużywaniem tzw. umów śmieciowych czy wymuszonym samozatrudnieniem. Nie jesteśmy przeciwni elastycznym formom współpracy, ale należy jasno podkreślić: praca, która ma cechy etatu, powinna być świadczona na podstawie umowy o pracę. Tak stanowi Kodeks pracy. To kwestia elementarnej godności, prawa do urlopu oraz bezpiecznej emerytury – dodał.

Chodzi o codzienne życie polskich rodzin

– Reprezentujemy pracowników, którzy z nadzieją, ale i dużym niepokojem, patrzą na proponowaną reformę prawa pracy. To nie są jedynie paragrafy – to codzienne życie polskich rodzin. Rynek pracy staje się coraz trudniejszy. Adekwatna płaca minimalna w warunkach rosnących kosztów życia jest dla pracownika kwestią sprawiedliwości. Nie zgadzamy się również na to, by jakiekolwiek regulacje klimatyczne czy systemy takie jak ETS prowadziły do likwidacji przedsiębiorstw i wypychania ludzi na bezrobocie – podkreślił Andrzej Kuchta.

> ***Gospodarka to nie tylko liczby, ale przede wszystkim ludzie. Bez pracownika, który czuje się bezpieczny i doceniony, nie ma silnego państwa.***
>
> ANDRZEJ KUCHTA

Przekonywał, że stabilność zatrudnienia jest jednym z fundamentów silnego państwa, a reforma prawa pracy musi stanowić realne wsparcie, a nie jedynie statystyczny sukces prezentowany w rządowych zestawieniach.

„Dialog oznacza negocjacje, czas na analizę oraz gotowość rządu do modyfikowania swoich propozycji”

Przewodniczący Kuchta zaapelował o prawdziwy dialog społeczny.

– Nie może on polegać wyłącznie na informowaniu partnerów społecznych o gotowych rozwiązaniach. Takie podejście osłabia sens funkcjonowania instytucji dialogu społecznego. Dialog oznacza negocjacje, czas na analizę oraz gotowość rządu do modyfikowania swoich propozycji. Tego dziś brakuje. Nie są dotrzymywane ustawowe terminy konsultacji, a same konsultacje mają często charakter pozorny – decyzje zapadają wcześniej, a partnerzy społeczni są stawiani przed faktem dokonanym – podkreślił.

– Chcemy nowoczesnego rynku pracy, ale takiego, w którym elastyczność idzie w parze z bezpieczeństwem. Powinien on opierać się na rzeczywistym dialogu społecznym oraz silnych układach zbiorowych pracy. Sama ustawa o układach zbiorowych nie przyniesie efektów, jeśli nie będzie wsparta realnymi działaniami rządu – powiedział Andrzej Kuchta.

„Najważniejszy jest człowiek”

Przekonywał również, że przedstawiony plan wzmocnienia rokowań zbiorowych pozostaje na razie dokumentem bez praktycznego przełożenia. Jak twierdził, na razie nie towarzyszą mu konkretne działania, które rzeczywiście wzmacniałyby pozycję pracowników w negocjacjach.

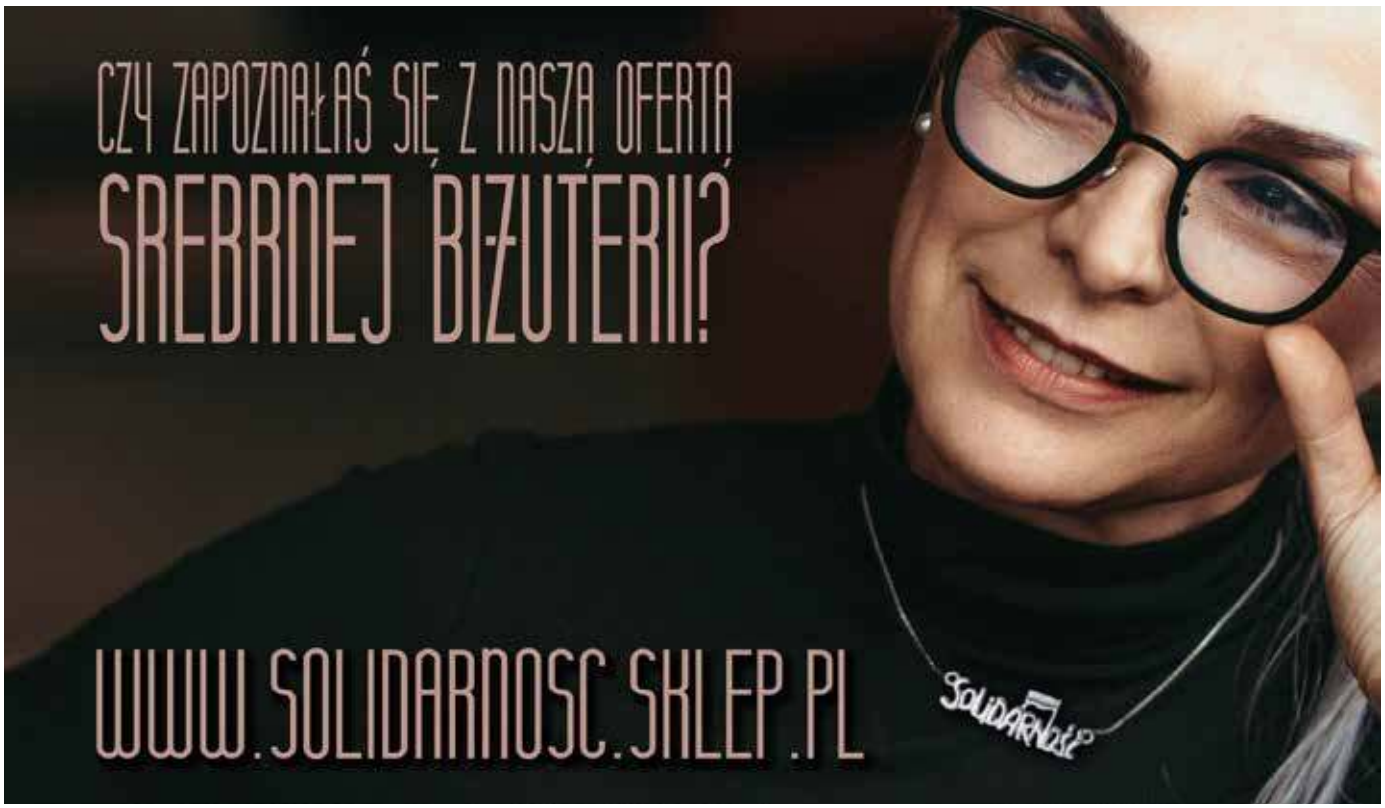
– Czas na decyzje, które pokażą, że najważniejszą wartością w gospodarce jest człowiek, a nie wyłącznie kapitał – podkreślił.

Przewodniczący poruszył temat regulacji dotyczących pracy platformowej. Według niego dyskusja wokół nich pokazuje, jak trudne jest wypracowanie rozwiązań zapewniających pracownikom bezpieczeństwo i stabilność.

– Musimy odpowiedzieć sobie na fundamentalne pytanie: Jakiego państwa chcemy? Czy takiego, które konkuruje niskimi kosztami pracy, czy nowoczesnego państwa opartego na wiedzy i szacunku dla pracy? Gospodarka to nie tylko liczby, ale przede wszystkim ludzie. Bez pracownika, który czuje się bezpieczny i doceniony, nie ma silnego państwa – podsumował przewodniczący.

W wypowiedziach innych przedstawicieli strony społecznej wybrzmiewała potrzeba wzmocnienia dialogu społecznego, a także takiej formuły prac nad projektami, które zakładają rzeczywistą dyskusję i możliwość osiągnięcia kompromisu.

eprasa.pl b1ccbc3081



Nasi autorzy

Marcin Krzeszowiec (Kongres..., s. 6), pisze dla „Tygodnika Solidarność" od 2021 roku. Aktualny gospodarz naszej rubryki „Co w związku".

Barbara Michałowska (Gdzie..., s. 10), dziennikarka „Tygodnika Solidarność". Specjalizuje się w sprawach związkowych. Z nami od 2009 roku.

Remigiusz Okraska (Kręcenie..., s. 9), publicysta i działacz społeczny. Współtwórca i redaktor naczelny pisma „Nowy Obywatel". Jego felietony ukazują się w „Tygodniku Solidarność" od 2024 roku.

Ludwik Pęzioł (Krótki..., s. 32), autor podcastu i kanału „Radykalny Pasywista". Na kanale YouTube „Tygodnika Solidarność" prowadzi program „Pokój socjalny" (razem z Krzysztofem Karnkowskim). W Tysolu od roku 2024.

Wojciech Stanisławski (Czytam..., s. 60), historyk, publicysta i krytyk literacki. Współtwórca Muzeum Historii Polski. „Listy 1969–1996. Jerzy Giedroyc, Michaił Heller" (UKSW, 2023) to jego najnowsza książka.

Tomasz Winiarski (Amerykanie..., s. 46), dziennikarz od spraw amerykańskich, korespondent telewizyjny i radiowy. Współprowadzący kanał „(Nie)Poprawny Dyplomata".

PRENUMERATA NA 2026 ROK

Prenumeratę „Tygodnika Solidarność" można zamówić na dwa sposoby:

1) bezpośrednio w redakcji „TS":
ul. Prosta 30, 00-838 Warszawa, tel. 22 882 27 80,
e-mail: prenumerata@tygodniksolidarnosc.com,
numer konta: mBank 44 1140 1065 0000 7461 0100 1001.
Prenumerata przyjmowana jest na dowolny okres i w dowolnym momencie;

2) w wersji elektronicznej przez: **Tysol.pl** (w zakładce „Prenumerata").

Prenumerata krajowa

- I kwartał – 128,70 zł (13 wydań)
- II kwartał – 128,70 zł (13 wydań)
- **I półrocze – 257,40 zł (od nr. 1 do 26)**
- III kwartał – 128,70 zł (13 wydań)
- IV kwartał – 118,80 zł (12 wydań)
- **II półrocze – 247,50 zł (od nr. 26 do 51/52)**

Roczna prenumerata – 504,90 zł

Prenumerata zagraniczna

- Roczna prenumerata – 281 euro – przesyłka priorytetowa

Więcej na:
www.tysol.pl/s6-Prenumerata-tygodnika-solidarnosc
Przy większych zamówieniach cena podlega negocjacji.
Koszty wysyłki ponosi wydawca.

eprasa.pl b1ccbc3081

HISTORIA TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

Wydanie Specjalne nr 1/2026:

Solidarność i wolność słowa. 45 lat „Tygodnika Solidarność”



Ponad 100 stron poświęconych wolności słowa i niezależnej prasy związanej z Solidarnością

Sylwetki redaktorów naczelnych

Jak SB rozpracowywała redakcję?

Wydanie Specjalne do kupienia na: solidarnosc.sklep.pl oraz w wybranych salonach prasowych

eprasa.pl b1ccbc3081



IDZIEMY PO REFERENDUM

ws.

ZIELONEGO ŁADU

WSPIERAMY INICJATYWĘ REFERENDALNĄ PREZYDENTA RP!

20 MAJA, GODZ. 12:00

WARSZAWA, PLAC ZAMKOWY

MANIFESTACJA

#RAZEMDLAPOLSKIIPOLAKÓW

eprasa.pl b1ccbc3081